









3914  
G. Mot bank

# BELDONEK.

Przez

**Adolfa Dygasińskiego.**

WARSZAWA.

W DRUKARNI I LITOGRAFII S. ORGELBRANDA SYNÓW,  
*Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.*

—  
1888.



# BELDONEK.

Przez

**Adolfa Dygasińskiego.**



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 29  
Tel. 20-58-53

WARSZAWA.

W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów,

*Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.*

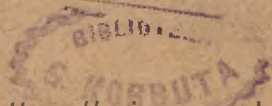
—  
1888.

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава, дня 20 Августа 1888 года

K. 1250

No. inw.



<https://rcin.org.pl>

## I.

Był sobie chłopak jeden — małe takie, brudne, na przypiecku to siadało, kozikiem strugał a strugał patyki; no i sam sobie ciągiem opowiadał, co z tego patyka chce zrobić:

— Króla takiego — mówi — okrutnego pana, co będzie miał wszystko, jak zechce, jak każe...

A nie, to zdłubał znowu jakiego cudacznego zwierza, co nogi miał, jak u konia, a skrzydła nikéj u gołębia. Różności przychodziły temu dziecku do głowy, nie takie było, jak inne dzieci. Beldonek go przewali we wsi, i tak już zostało. Miał ojca, matkę, jeno braci i siostr więcej nie było. Ludziska ci zarabiali się, zwyczajnie jak w chłopskim stanie—grzebało to w ziemi, babrało się wedle bydłat. A ten Beldonek nie lubił takiej roboty; od dziecka nie chciało mu się żyć, jak inni ludzie. Kiej kozikiem czego nie wykrawał, to w palcach coniebądź lepił z gliny, albo wziął z komina węgiel; poleciał za chałupę i dopiéro na słupach różne cudaki gryzmolił, czyli téż na wrotni od stodoły. Bywało bieży nieraz pod kan-

Beldonek.

1

\*/ por. typ Stawka z „Placówki” Pusa (1886r.)

<https://rcin.org.pl>

celaryą gminną, albo się chyłkiem skrada ku dworowi, i tam na podwórku gméra w śmieciach, nie przymierzając, jak kura. A on to robił kóli różnych papiérków, bo je ogromnie lubił zbierać. Jak tego nazbiérał, tak dopiéro rozlepiał precz po ścianach, po płotach. Chałupa owych Beldonkowych rodziców aż się pstrzyła bez to, co przed takim chłopakiem nie można było żadnej czystości utrzymać. Zalazł do sadu, to i na drzewach kozikiem różności wyrzynał. Drugi ojciec, toby zepsuł uczciwie skórę takiemu smarkatemu i oduczyłyby od psoty; jeno ten Beldonków pozwalał chłopakowi na wszystko — juści pewnikiem bez to, jako jedno dziecko było w chałupie. No, rozpuściło się na nic chłopaczysko, zrobił się z niego taki mitręga. Zagadał co, to zawdy nic do rzeczy.

— Słyszycie wy, matulu — powiada, — jak to myszy pod nalepą piszczą?

— Oj, ty pleciugo—mówi mu matka,— dziwo-ta jaka, że myszy piszczą!

— One tak gadają z sobą, nikiem ludzie,—rzeknie chłopak.

Znowu drugi raz uważał sobie, że jak wiatr śwista, to niby coś grało po dworze. Czasem go starzy zgadali za to, ale to nic nie pomogło.

— Wyrośnie, to zmądrzeje,—powiadała matka. Przyszło jakieś złe powietrze i umarł ojciec temu chłopakowi; lament ogromny w chałupie,

matka się zanosi z płaczu, o kęs się pod ziemię nie schowa. Chłopak też popłakuje za panią matką, ale co trochę to pyta:

— Matulu, co się tatusiowi stało?

Ona jęczy w niebogłosość i woła:

— Dyć umarł, umarł mój kochanek!... Zostałaś sierotką na świecie, a ja nieszczęśliwa wdowa!

Jeno Beldonek nie rozumiał, co to jest „umarł,” i ciągle się matce napierał, żeby mu tłumaczyła, jak tatuś umarł. Takie już było jakieś dziecko, że na proste rzeczy rozumu żadnego nie miało.

Lubiły we wsi baby tę kobietę, schodziły się potem do niej, żeby jej markotność po chłopie rozpędzić. To tam u niej w chałupie na jesieni czy w zimie po całych wieczorach jedne przędły, drugie darły pierze, czy też łuskały groch albo kukurydzę, a przytém bajały różności. Weszło to, przez cały rok we zwyczaj. Beldonek słuchał; okrutnie lubił takie baję, omal się nie zasłuchał. Już potem znowu przez cały dzień nic nie robi, tylko dziwności wygaduje; precz rozpowiada historye, co pono jeszcze ciekawsze były od tych babskich. Miał głowę do takich rzeczy.

— „Był chłopak — mówi, — z chałupy wyszedł bez niczego, w świat sobie poszedł...”

Dopiero matce wyklada jedno po drugim, jak ten chłopak żył, jakie miał straszne przypadki. Stara się uwija po chałupie, jak to przy gospodarstwie — kartofle struże, porządek robi w naczy-

niu, czy ogień nieci, a chłopak rznie swoją sztukę. To się nieraz aż spłakała, jedném jeno uchem słuchający, bo tak smutnie rozpowiadał wszystko.

— A wiécie, matusiu, co się z tym chłopakiem stało? Powiedziéc wam?...

I znowu rozpowiada zmyślnie, nikiéj z książki, jak się w tym biédnym chłopcu zakochała panna ze złotymi włosami.

Skąd tota takiemu małemu przychodziło do głowy? Ledwie jedną historiją skończył, całą do cna wypowiedział, już znowu drugą zaczyna.

— „Był taki człowiek — powiada, — co mowę zwierząt podsłuchał i wiedział rzeczy innym ludziom nieznanne...“

Całą historiją bardzo długą ciągnie, a coraz to wszystko ciekawsze; bo taki człowiek mógł umarłego do życia przywrócić, sam się téż mógł zmienić w zająca, wilka, czy téż mrówkę albo ptaka. Nie tylko takie historye opowiadał; inne jeszcze piękniejsze były: O jednym, co smoka o dwunastu głowach poćwiartował, król mu za to swoją córkę dał za żonę i na królestwie go posadził.

Nie dość na tém; rozpowiadał o zaklętych królownach, o czarnoksiężnikach, o różnych okrutnych zbójach, o zamkach, pałacach, skarbach niezmiernych. Myślałby kto, że on te rzeczy widział, a to było tyla z głowy, tak sobie układał.

— Myślicie, matulu—rzecze, — że to niepraw-

da?... Niech jeno kiedy pójdę w świat, to po kolei wszystkiego odszukam.

— To ta nie dla chłopca—powiada matka,—gonić wiatr po świecie; jak urośniesz, musi ci niestatek z głowy wywietrzeć. Nie żadneś przecie pańskie dziecko, żebyś był włóczykijem, czy obieżyświatem!...

On już miał taką naturę, ten mały. Nieraz matka opowiadała babom, że kiej inni w nocy spali, Beldonek nie spał; wpatrywał się jeno w ciemności, a bał się czegoś, choć przy matusi leżał.

— Ciarki mnie nieraz oblażą — mawiała Beldonkowa matka,— bo może do tego dziecka załazi zmora, albo strzyga... Zakryje bywa obiema rękoma oczy i drze się ze strachu, że coś takiego widzi, a tu jako żywo nic niéma. Budzi się rano, dziwności opowiada, bo mu się osobliwe rzeczy przyśniwają.— Matusiu—mówi,— obejrzyjcie-no mnie całego, czy niéma na mnie jakiego znaku od spadnięcia, bom w nocy był het pod samém niebem i musi do samego rana spadałem na ziemię, lecący stamtąd. — Toś nie spadał—gadam mu,— jeno rosłeś wtenczas, kiedy ci się to obśniwało. A on nie wierzy.

— Posłałibyście go oto z gęsiami na błonie — powiada do matki stryjna Beldonkowa. — Chłopak bez roboty i z tego mu się we łbie różnie roi.

— A może — myśli matka.

I posłała go paść gęsi na błoniu zawraz z innymi chłopakami ze wsi.

Gdzie on ta o gęsiach miał myśleć!

— Pokraczne jakieś dziecko — powiadają ludzie, — musi go w małości kto na rozum urzekł, a tego nie odczyni, bo okrutnie wewnątrz.

Pasał on to ta gęsi? Licha miał pasać! Bieży nad wodę i słucha, powiada, że niby taka płynąca struga do niego téż coś gada.

— Co znowu ma gadać! — mówią mu dzieci inne, bo nie miały takiego bałamuctwa w myśli.

A on koniecznie napiéra, że gada, że wyraźnie słychać:

„Trylili, jedziemy, płyniemy...

Stój, prrruuu!

Jazda dalej, niéma czasu,

Bel-bel-donku, bądź zdrów!...“

To się naśmieli z niego pasterze, a hurmem latali za nim po błoniu dla osobliwości.

Drugi raz znowu staje przed drzewem i pyta tamtych dzieci:

— Albo wy wiecie, co ten tam trznadel wyśpiewuje na gałązce?

— No, cóż? Ty sam tego nie wiesz, tak sobie ano śpiewa i po wszystkim, — powiadają pastérze.

A on zaraz udaje śpiewanie trznadla i odrzeknie:

„Ze zdechłego cielęcica będzie niic!...“

— Tać rychtyk, prawda!...—mówią one chłopaki, i dopiéro jeden przez drugiego powtarza: — „Ze zdechłego cielęcica będzie niic!“

Bo on to tylko trznadla tak spatrzył. Kiej wróble świérkały na wiérzbie, Beldonek zaraz powiada, że one rozmawiają, jeden mówi:

— „Filip, Filip!  
Wiesz ty kaj księży jęczmień?“

A drugi mu na to:

— „Wiém, wiém,  
Lećwa tam!“

O gęsiach, to znowu powiadał, że się tak rozmawiają:

— „Jagata, Jagata,  
Dałabyś nam a to źréc, źréc!“

Do takich oto rzeczy, to ten chłopaczysko był jedyny, ale nie do pasania, czy innéj jakiej roboty. Do gadania miał okrutne przekonanie, i jak co do czego przyszło, mógł nawet staremu niejedno wytłomaczyć.

— Wiécie wy ludzie — powiada raz, — że po świecie chodzi dwoje starych, siwiutkich ludzi, oboje strasznie obdarci. Ona się zowie Zima,

a on Mróz, chodzą i ziębią to ludzi, to zwierzęta; bo im się chce zagrzać przy kimbądź.

— No, a cóż takiego będzie Wiater? — pytają go.

— Wiater — mówi on, — to ogromny mocarz, także po świecie oblata wokoło, i raz tak było, że się oba spotkali z Mrozem; jeden drugiego okrutnie wyzywał. Ma się wiedzieć, co Wiater zmógł tego starowinę, kiej się za łby z sobą wzięli. I już teraz zawdy między nimi przychodzi do bijatyki, to wtenczas jest zamieć, a jak między nich wlezie człowiek, to go jeden mrozi, drugi zasypuje w śniegu. Czasem Wiater chce pokazać Mrozowi, co za siła u niego, to się oprze nogami na gruncie, a rękami chwytą za wiérzch stodołę czy chałupę i dopiero rżnie o ziemię.

Jak raz znowu baby napotkały Beldonka, tak mu mówią:

— Słuchaj-no, w twoich latach drugie dziecko to i na zagon pójdzie z sierpem, zajmie garść na równi z setną dziewczką, a snopa choć może nie zwiąże, to go podźwignie... Nie wstyd ci próżniaku?

— Was nie wstyd, że nie wiecie, jak co jest, a ja się będę wstydał?

— Cie go, jaki to rak, ze starymby się przeko-marzał!... Mądrala w języku, a wszystkiego pewnie nie wiesz!... Kiedyś taki, powiedz, bez co słońce w dzień jeno świeci, a miesiąc w nocy?

— No, bez to, że słońce jest pan ojciec, miesiącek—pani matka, a te małe gwiazdeczki—ich dzieciątka; one rosną pomалу, a ojcowie im nie chcą oddać gospodarstwa. Pani matka to je czasem jeno w nocy wyprowadza z chałupy, bo jakby je w dzień wyprowadziła, toby z góry zobaczyły, że tutejsi gospodarze dzieciom swoim het oddają grunt a chałupę i zarazby się upominały...

---

## II.

Miał ten Beldonek niecałych osiem lat życia, kiedy go odumarała matka. Zbeczał się strasznie, bo się bardzo oboje kochali z matusią, ale go ludzie ciągle pocieszali:

— Nie płakałbyś a to—nie, matusia twa poszli na tamten świat i patrzą stamtąd na ciebie, czy ci się na tym świecie krzywda jaka nie dzieje...

Uspakajał go tak stryk, ujek, stryjna, ujna i inni ludzie. Jakoś żał przeszedł, lecz chłopak nieraz sobie myślał, co matusia jego robi na tamtym świecie i czasem go okrutna chęć brała, żeby też odwiedzić matusię. Nieraz mu się śniła, chwytał ją za szyję, a kiedy rano wstał, żałował, że się matusinėj zapaski lub spódnicy nie czepił i z nią na tamten świat nie poszedł.

Z początku w chałupie stryka Matusa było mu niczego, nieźle; raz dostał nawet od stryjny kromkę chleba z miodem, zjadł, aż palce oblizał. On ta nie wiedział, że po pani matce ostały dla niego dwie krowy, cielę, żrebna kobyła, wieprzek, wóz, chałupa, no i grunt. Stryk Matus był opiekunem i w jego chałupie chował się chłopak sięrota.

Nie wyszło miesiąca od śmierci matusi, a już stryk i stryjna zaczęli zapędzać Beldonka do ciężkiej roboty. Bydła mu pasać nie pozwalano, bo to robił Wojtek, syn stryka. Był na posłudze przy chałupie, przy stodole, w polu, gnój z pod bydła wyrzucał. Ale mu się robota nie paliła w rękach, niby to robił—nie robiący. Raz, drugi, dziesiąty zgadał go stryk Matus, a jak nie pomogło, to powiedział, co „takiego prawie jeno na zarobek do dwora posyłać i za te pieniądze wziąć do chałupy innego jakiego spychacza...”

To chodził teraz Beldonek do dworu na zarobek, brał za dzień dwanaście groszy od pielienia, dziesięć groszy od kręcenia powróseł, od poganiaczki za pługiem, albo od wyrzucki słomy przy maszynie do młócenia. Do rozrzucania gnoju na polu, do sadzenia — to go nawet przyjmować nie chcieli.

Robota we dworze była mu najcięższa, bo nie dosyć, że polowy stał ciągle na karku i doganiał,

ale jeszcze chłopaki i dziewczuchy wyprawiały sobie z niego pośmiéwisko.

— Był-do-nic, był-do-nic, Beldonek! Co miało znaczyć, że nazwisko *Beldonek*, wyraża jakoby człowieka *do niczego*.

Nawet do porachunku w niedzielę rano nie mógł sam przychodzić, tylko stryk z kwitkami chodził do dworu i pieniądze odbierał; a i on, kiedy powrócił, był zły, markotny, gdyż tak polowy, jak ekonom, mawiali, że:

— Takiemu rakowi niéma za co płacić, bo jego robota łyżki żuru nie warta...

Jak zaś poszedł parę razy sam Beldonek do porachunku, to go tarmosili, popychali, drwili, — raz mu nawet koszulę rozdarli, a drugi raz czapkę na strzechę rzucili.

— Niemrawiec jakiś, dyć on przez zagon nie przelézie, ino się zara potknie, lebo przewali.— Wydziwiali chłopcy.

A dziewczęta, to nawet śpiéwkę ułożyły:

— „Oj był ci Beldonek,  
Nikiej mysi ogonek,  
Kuśtyk, kuśtyk, kuśtyk!...“

Zmierzył sobie chłopak to wszystko; robota bo i tak w głowie mu już nie była. Dopiero jak kiedy zobaczył, że przy nim niéma nikogo, to zaraz dalej gadać z sobą samym coś tak dziwnego, co

go ludzie nijak zrozumieć nie mogli; choć kto podsłuchał, to i tak nic nie wyrozumiał, bo całe gadanie było nie do rzeczy.

— Jacy niespełna ma w głowie; musi czegoś takim koniecznie brakuje,—powiadają jedni.

A drudzy znowu:

— Taki siérotka, to się czasem chce na desperaka wykierować... Choć ta i strykwie dobrzy ludzie, zawdy to nie rodzona matka.

On tak doprawdy czegoś pogłupiał, nie był już taki mowny, jak dawniej, osowiał jakoś. Czasem do niego w chałupie zagada które, a on nic; no, mogło być nie do wytrzymania, jak sobie z niczego nic nie robił.

— Hanka—mówi strykw do swojej,— ten chłopak coś tak jakby na bont patrzył. Niéma on przypadkiem żalości w sercu po nieboszce bratowej?

— Gadanie — powiada stryjna,— jacy chłopaczysko żadnego baczenia na nic niéma; mów co do niego, to jakby na psa przyłatał... Szturmak taki, i koniec.

Kazała mu raz ta stryjna narwać pokrzyw; rwał, rwał i narwał; ale mu ogromnie ręce popuchły, bo te pokrzywy były strasznie parzące, musiał jeszcze to zielsko potem posiekać, a ona je sparzyła wrzącą wodą i kazała chłopakowi, żeby to prosiętom zadał w korycie. On wziął i zrobił. Dopiero te zwierzęta okrutnie w chlewie

kwiczały, jak poczuły, że im jadło stawiają; tak on je puszcza z zamknięcia, a to bestyjstwo rwie się do koryta bez żadnego upamiętania — zwyczajnie jak świnie. Wpadają chłopakowi hurmem pod nogi, pchnęły i przewaliły go na ziemię. No nic, żrą z koryta, jeno mlaszczą, a chłopak się podnieść nie mógł, bez to, że go od tych pokrzyw paliły strasznie ręce i nogi. Z takiego bólu, co mu się aż na płacz zbierało, złość go porwała na one świnki, tak dopadł jednej, łap ją za ucho i dopiero pięścią zaczyna młócić gdzie popadnie. Świnia w kwik, on precz wali, a inne ją odjadają. Wylatuje z izby stryjna, widzi taki rozgardyasz, przypada do chłopaka i swoim porządkiem jego znowu chwyta za ucho jedną ręką, musi lewicą, a prawicą grzmoci za plecy, aż w chłopaku jęczało.

Setnie go skatowała, bo była zawzięta, rozżarta c to prosię.

Siadł przed chałupą na pogródce, wziął głowę między ręce, beczy z tego wszystkiego. A tu przychodzi stryk i od swojej dowiaduje się o tych sprawkach; nie powiedział nic, jeno poszedł do komory, wyjął skądś kawałek powroza, złożył go sobie we dwójkę, jak się patrzy, trzyma to z tyłu, cicho podchodzi do Beldonka i ściągnął go uczciwie. Tak chłopak aż się przegiał; zaraz chciał gdzie uciec. Ale cóż, kiedy go stryk dostał do garści — trzyma, a skórę rznie na stojący

i raz po raz powtarza: „Będziesz ty drugi raz katował boskie stworzenie!...”

Musi dużo bólu miał chłopiec, bo posiniał na gębie; ale jak go stryk z rąk wypuścił, to się wstrzymywał od głośnego płaczu, bo mu mogli jeszcze co przyłożyć. Dopiero kiedy stryk poszedł z tym powrozem do izby, Beldonek w nogi, puścił się w pole, goni co żywo, i wtenczas już zaczął tak ryczeć, że ludzie na okolicę przy robocie postawali, żeby widzieć, co się dzieje. On het bieży, gdzie to tam już chałupę zostawił; wypadł na chłopskie grunta — przeleciał miedzami, jeno się migał ludziom w oczach; wpadł na dworskie pola, a nic zwawości w nogach nie stracił. Miało się już pod wieczór, kiedy chłopak, popłakując, wyszedł za granicę wsi swojej. Idzie już potem drogą, płacze coraz ciszej, skoro się oddala. Domyślić, że się całkiem uspokoił.

— Nie wrócę ja już do nich, nie,—powiada sobie, — pójdę kajbądź, pójdę na tamten świat do matuli, a do strykowej chałupy nie wrócę...

Jak sobie pomyślał o matusi, o tamtym świecie, tak mu ulżyło w markotności; widział niby, że mu się teraz nikogo bać nie trzeba. Tak jeno pomacał ręką po plecach, ale czuł, że go jeszcze okrutnie boli. Nic, ciągle idzie; sam nie wiedział, skąd mu się na śpiewanie zebrało i zaśpiewał sobie:

„Matus, matus moja,  
Już ty w grobie leżysz;  
Ja się poniewieram,  
Może o tém nie wiesz...”

Kiej to przyśpiéwywał, tak znowu myśli: „Daleko téż może być do tamtego świata?”

— Trza — powiada, — iść i iść ciągiem, to koniecznie dojdę.

Widzi słońko się opuszcza, ładniuskie takie, migotliwe.

— Rychtyk — myśli, — ono na tamten świat idzie; pójdę het za słońkiem.

Tak się puszcza tęgo, bo się chłopakowi widziało, że on jeszcze przed nocą do słońca dopadnie, że na noc zajdzie do tamtego świata, do swojej matuli. Ale się już zadyszał, ustał zupełnie; siadł wedle drogi i patrzy w ono słońko, co akurat jakby leżało na ziemi; — wiadome rzeczy, zachodziło za inne światy. Przygląda się, a słońko jeno—mig, mig, gasło tak nitek kaganek czy łuczywo, jak się już dopala. A na chmurach się tyła mieniło od ognistości i takie się czerwone porobiły jakieś wieże, kościoły, pałace czy co takiego.

Wstał, ledwie już lézie, zdrożył się chłopaczyna; patrzy—wieś jakaś, już był daleko od domu. Ale się bał czegoś iść do téj wsi między ludzi

i nie poszedł. Nasłuchuje tylko zdaleka, czy też tu tak samo, jak we wsi jego.

A jakże, słyszał precz — psy ujadają na różne głosy, — krowa ryknęła raz po raz, — gęsi się zadarły wszystkie od razu jednym głosem, — baba jakaś ciągiem nawoływała: taś, taś, taś!

Niéma co, poszedł między zboża; słońce zupełnie zaszło, zmiérzch był; siadł sobie na miedzy, a tu chrabąszcze buczą naokolusieńko i tłuką mu się o głowę, niech ta; podparł sobie głowę na obu rękach, sam nie wiedział o czém myślał. Zdawało mu się, że w tamtój stronie, gdzie słoneczko zgasło, przepióreczki wołają na niego: „Beldonek, Beldonek!...“ I potém znowu: „Idź—precz! idź — precz!...“

Rozpatruje się po chłopskich półkach; choć był mrok taki spory, poznał, że ma po jednéj stronie żyto, jak las gęste, a po drugiej — aż pachniała koniczyna. Patrzy dalej, za półkami łąki, a no opary się na nich bieluśkie dźwigwały w górę, niżej białe chusty czy rańtuchy. Tak się toto wlokło po powietrzu, jakby chodziło jakie żywe — raz wyżej, znowu niżej, szło aż na pola. Kiej się wpatrzył w te mgły, zaczął go sen ogarniać, zamknął oczy i usnął. Ciepława taka lipcowa nocka, najlepšíj się wtedy sypia na polu, to on też spał bardzo twardo do białego dnia. Dopiero go nad ranem trochę ziębiło, bez to, co rosa osiadła na nim okrutna.

Wyspał się porządnie; jak wstał z tamtój miedzy, był ogromnie żwawy, tylko myśli—czém się ta będzie pożywić? Jak spojrział teraz na słoneczko, tak sobie zaraz wspomniął, że ono wczoraj na wieczór zachodziło, jeno całkiem zabaczył, w którym miejscu: no, bo było już gdzieindziej na niebie.

— Ej, co tam—powiada,—wszędzie trafię, byle iść drogą prosto przed siebie...

Skoro wstał, zaraz okolił tę wieś poza ogrodami i wyszedł na drogę prościutką, jak strzelił.

---

### III.

Słońce już wysoko było na niebie i Beldonek daleko za sobą zostawił wieś, gdzie nocował; poczuł głód i prawie żałował téj ucieczki swojej z chałupy stryka Matusa. Zawsze przecież o téj porze dnia byłby tam dostał od stryjny swoją porcyą na śniadanie: — porządną sztukę chleba i z pół garnuszka żuru. Chłopak westchnął, bo o powrocie ani myśleć; zdawało mu się, że już przeszło bardzo dużo czasu, jak uciekł; powróz we dwoje złożony byłby niezawodnie w robocie...

Tymczasem jeść mu się chciało; pomyślał, że mógłby wypaść na pole i narwać ludzkiego grochu, albo wyléźć gdzie na dziką gruszę i dostać

Beldonek.



trochę owocu. Ale był bardzo nieśmiały. Jak się tu nawet mógł pokazać obcy człowiek, kiedy wszędzie w polu pełno było ludzi? A tu się jeść chce i chce coraz bardziej. Posłyszał, że w nim parę razy głośno zakruczało; zdawało mu się, iż najwyraźniej słyszy, jak się żołądek ludzkimi słowami dopomina: „żu-ruru, żu-ruru, gwałtu — chle-ba!“

Patrzy Beldonek, a tu las. Ha, w lesie są różności do jedzenia: grzyby może jeszcze lepsze niż kartofle, tylko trzebaby je koniecznie upiec; są tam i orzechy, ale o téj porze muszą być jeszcze bardzo młode;—to nic, młode orzechy są słodkie jak mléko, trzeba je tylko znaleźć. No, a jagody czarne i czerwone, a jabłonki z płonkami? Zjadłoby się cobądź.

Jak tak myślał, tak zapomniał o tamtym świecie i wlaźł do lasu. Idzie, idzie i spostrzegł śliczną polankę, aż się mieniła od zieloności; porwało się z niéj kilka ptaszków i wiewiórka w wielkim pośpiechu umknęła na drzewo. Chłopak nic, tylko upatruje, czyby się tu co schrupać nie dało. Zaraz przy brzegu téj łączki pomiędzy drzewami rosła zajęcza kapusta, rosła kupkami jak rozsada,— to rwał i jadł. Na polance pełno było szczawiu, znowu go jadł, aż mu zęby na nic ścierpły; potem narwał kwiatków białéj koniczyнки i miód z niéj wysysał, jak pszczoła. Miał ochotę pochwycić trzmiela czy tam bąka,

który się opił miodu z kwiatów,— byłby chłopiec wyssał ten miód z niego; ale takie leśne baki — to strasznie mądre, i uciekały.

Poszedł w las dalej, już nie był taki głodny, a tu na porębie pełno poziomek, aż proszą się, żeby je zbierać; znalazł też moc borówek i prześlicznych jeżyn; nie tylko się najadł należycie, ale jeszcze ubierał tego pełny kapelusz.

Jak sobie podjadł, tak począł myśleć, co tu teraz robić? Bo się przecie wybrał w drogę na tamten świat do matusi. Spojrzy na ziemię, a tu z jakiejś dziury wyleciał zwodzijaszek, taki mały ptak, co go też mysim królem nazywają, albo durzy-ludkiem.

Ptaszek ten zadarł do góry ogonka, patrzy się na chłopaka i zaczyna wrzeszcząć:

— Precz—precz, precz—precz!

— A no, to on mi widzę precz w świat iść każe,— pomyślał sobie Beldonek.— Ptaszku, co trochę to skoczy po ziemi, to się na chłopaka obejrzy i znowu dalej leci, a ciągiem nawołuje: precz,— precz!

Tak też Beldonek precz szedł za nim, a on to się chował w jaką dziurę, to znowu wyskakiwał, niby to prowadził chłopca. Oba tak jakiś czas het w las się zapuszczali, a chłopak myślał:

— On mnie tu pewnikiem na skraj tego świata prowadzi...

I chciał Beldonek chwycić tego ptaszka, bo mu czasami pod samą rękę wlaził; ale co chłopak podszedł, to zwodzijaszek myk i już go niema, suwał się rychtyk jak mysz jaka.

Przyleciał on zwodzijasze do jednego krzaka i tam się drze już inaczej: „Śmierć, śmierć!“ — woła, a Beldonek się zastanowił, bo nie wiedział, co to znaczy. Dopiero potem z owego krzaka wypadł drugi jeszcze mysi królik, a za nim czterech mniejszych, bo ten drugi był na pewno matką, a reszta — dzieci. Narobiło toto ogromnego wrzasku, i znowu poczęły one ptaki wodzić Beldonka po lesie — to tu, to tam; ale się między sobą wszystkie trzymały kupy.

Przyleciały nad jakąś wodę, on się zaś tak zapędził, że patrzy, a tu po kostki brodzi w wodzie, więc sobie zaraz pomyślał:

— Oho, nie głupim, tuby się człowiek na nic stoplał.

I nie poszedł już dalej, tylko sobie siadł i myśli, co też tam o nim teraz w chałupie mówią — stryk Matus, stryjna i Wojtek; musieli go pewnością pomstować, że tak pokryjomu uciekł. A one zwodzijasze, jak wpadły między sitowie, to go tam duchem ciągnęły do siebie, żeby szedł, wołały: „Precz, precz!“ On nic, nie idzie, bo wiedział, że woda przed nim duża, ogromna topiel.

Na jeden raz, jak coś grzotnie w tym bajorze — rany boskie!

Grzmotnęło raz i drugi, aż się las całutki zatrząsał—tak okrutnie ktoś strzelał.

Dopiero Beldonek widzi, że to nie żarty, struchlał cały, dygotał ze strachu i w te pędy pod krzak się wcisnął. A tam w onój topieli jakiś straszny gwałt się zrobił; szumiało coś i pluskało ogromnie; dzikie kaczki zrywały się z sitowia ze straszném trzepotaniem, leciały w górę powrzaskując: „strach, strach!“ Więc on myślał, że strach musi być jaki wielki, kiedy się tak kaczki drą i uciekają, a tych zwodzijaszków. to już ani dychu, ani słychu. Tak jeno zpod krzaka wypatrywał, co będzie z tego wszystkiego.

Aż tu naraz wypada jakiś człowiek nie człowiek, cały taki stoplany, że się woda z niego siurczkiem lała na wszystkie strony. Beldonek zamrużył oczy, bo nijak nie mógł patrzeć na takie rzeczy, odrazu stracił czucie i rozum w głowie; staremuby to napędziło strachu, nie dopiero małemu.

Ten człowiek miał na ramieniu zawieszoną strzelbę i torbę, w rękach trzymał pobite kaczki, z których się krew tak lała, jak z niego woda,—oczy były jakieś zakrwawione, straszne wąsiska i ruda broda, na nogach łapcie i ręce poza łokcie zakasane.

Beldonek od razu sobie pomyślał, że to musi być zbój jaki, czarnoksiężnik, albo i sam topielec. A one zwodzijaszki pewnikiem tu umyślnie chłop-

ca sprowadziły, żeby tego świata więcej nie oglądał; więc też pod krzakiem aż go zimno tłuc poczęło, tak się zestrachał. Jak się bać nie miał, kiedy ten cudaczny człowiek siadł blisko niego i zaczął dobijać kaczkę, które były jeszcze co nie co żywe— precz im tłukł i rozbijał łby o drzewo, aż chłopaka mrowie przeszło na takie straszności. Dobrze jeszcze co on wąsała tyłem siedział do krzaka, w który się Beldonek cały do krzty zaszył. Potem chłopak patrzy, a ten jakiś dobywa z torby flaszkę i pije gładko, ciągnie porządnie — gul, gul, ani się zachłysnął. Kiej już wypił, to położył głowę na mchu i dopiero zaczął okrutnie chrapać, tak chrapał, że aż het w lesie słychać było.

— Śpi on, czy nie śpi? — myśli sobie Beldonek, — bo jakby spał, to najlepiej wziąć nogi za pas i w las buchnąć... Ale cóż, taki może tylko udawać spanie, a zbudzi się, to jak nic, jak amen w paciérzu weźmie i utopi człowieka w bagnisku...

No, wysunął teraz chłopak po cichu rękę z krzaka, a ten mocniej jeszcze chrapnął, aż mu się w gardle coś zastanowiło—tak się był w chrapaniu jakoś zaciął. Beldonek wysunął znowu naprzód drugą rękę i potem jeszcze pół siebie po pas, bo chciał uciekać. A tamten śpiący chrapnął okrutnie: „kłaa-ap“ i poruszył się cały na trawie.

— Dola moja biędna! — myśli sobie chłopak.

Ale już nie czeka, jeno co będzie, to będzie; jak się porwie zpod tego krzaka, nikiem zając, i w las odrazu sunął. Tak on człowiek widać się ocknął, bo w niebogłosy ryknął:

— Stój, psiawiaro, bo strzele!...

Beldonek już był na wszystko gotów, nic nie pyta jeno sadzi przed się — krzak nie krzak, mrowisko nie mrowisko: a niech ta strzela!..

I uciekł. — Bóg wie, co za jeden był tamten człowiek; jużci zły jakiś być musiał: — może taki przypołudnik strzyga, może leśny, a może i topielec, czy téż zbójca — wszystko jedno. Chłopak ledwie się w biegu upamiętał, tak smyrgał; ale uciekł nareszcie i wtenczas już sam do siebie powiada:

— Nie lepiej mi téż było w strykowej chałupie siedzieć, choćby i tym powrozem brać w plecy?... To tu widzę w takim boru niewytrzymańskie ludzkie.

Już się teraz okrutnie miał na baczeniu; myślał tyła, żeby się na czyste pole jako wydobyć. Bór był strasznie duży; Bóg jeden wie, gdzie dymać: może naprzód, a może wtył, czy na którą stronę?...

## IV.

Zaraz po południu był przyparek, człowiek ledwie dech z siebie puszczał, tak się duszno zrobiło w powietrzu. Zielona żabka w krzakach ciągiem wołała: „krew, krew, krew, daj, dech, dech, daj!“

Chłopak się zraził tém wszystkiém, co było, i miał się już teraz na baczeniu, żeby nie iść w tamtą stronę ku owój wodzie, gdzie napotkał strasznego człowieka. Doszedł akurat do poręby, jeno sobie rozmyślał, czy on tu już był, czy nie był; bo tam rosło jagód co nie miara, to może były te same, co je rano zbierał. Naokolusienko darły się świerszcze, aż w uszach głużyło: firliii, tirlirii, rirlii,—przeróżne muchy się roiły, a jedne brzęczały: tinnn, tinnn, drugie znowu: bzzz... bzzz...

Porwała się z trawy kraska, ptak śliczności, jak co cudownego, i w las poszła; różne malutkie ptaszki zbierały coś w trawie; one się także zrywały i uciekały precz jeden po drugim. Jaszczurki, wywijając ogonem, zmykały na wszystkie strony i wąż długi zmykał w gęstwinię, tak co jeno trawa szumiała. Małe motylki ledwie się kwiatków czepiały—takie to było jakieś zmęczone. Na brzegu lasu kręciły się po gałęziach sikorki wpół niebieskie z białemi główkami, prze-

chylały się z drzewa, spoglądały na chłopca, wołając: fig-mig, fig-mig, a fertały się co żywo.

Beldonek bo się jeszcze bać ciągle nie przedstawiał, raz po raz zérkał w tamtą stronę ku wodzie, skąd przyszedł; myślał, że mogło za nim co gonić.

Wtém słyszy — koń parska, patrzy, a tu ku niemu jada jacyś, musi być ogromne państwo, bo konie strasznie minowały: łby pozadziérały do góry i aż się na nich mieniły mosiądze, czy co takiego. Tak on na bok w krzaki, schował się, bo kto ta wie, co mogło jechać. A to dwoje jechało. Na jednym karym koniu siedział pan, na drugim siwym — jakiś cudak: musi nie chłop, bo nie siedziało okrakiem, tyła tak, jak się na ławie siada. Chłopak się przeląkł — dziwno mu było. Te oba konie strasznie się rwały do biegu, bo im okrutnie dokuczały leśne muchy, jacy śleponie, co jak się wpiją bydlęciu pod siartkę, to je zabijesz, a nie spędzisz. Dopiero to, co na koniu siedziało okrakiem, powiada:

— Ja swojego siwka już dłużej nie utrzymam w garści, bo mi ręce na nic zemdlały, a muchy go tną...

Ledwie to rzekło, a siwek jak się kopnie przez tę porębę, jeno trawa zafurczała i ziemia bębniła. Drugi téż koń za nim — i tak gnali het, het.

Chłopakowi aż się lżej zrobiło; odetchnął: „Chwałaż ci Panie...” No, boć te cudaczne oso-

by w takiej pustce Bóg wie co z nim mogły zrobić i niktby nawet nie wiedział.—a one sobie poleciały i koniec. Więc Beldonek już teraz wcale nie wychodził na porębę, miał boja, żeby znowu w otwartości na co nie utrafił.

Niedługo potem nasłuchuje, a tu grzmi ciężko, jakby kto naraz furę kartofli zwałił; w niebie tak zahuczało.

— Ha — myśli sobie,— może ta i ci, co przejechali, naprowadzili na las chmurę; mogli być planetniki, toć żywcem na to wyglądali: byłby to z prostego człowieka taki latawiec?...

Tylko co sobie pomyślał tyle, a tu się ściemnia i po nad lasem ciągnie chmura okropności, taka czarna jak smoła. Zagrzmiało teraz mocniej, jakby tuż po moście z pięć wozów przejechało; potem znowu zagrzmiało jeszcze mocniej, nie przymierzający jakby ze stu chłopów biło na boisku zboże cepami. Zrobiło się na świecie cichutętko—ptaszka, motyla, muchy ani widu, i drzewa wszystkie jakby spały. Beldonek już wiedział, że koniecznie będzie jakaś słota z tego. Wychodzi sobie w zagajnik na ścieżkę, a tu co raz to mu na nos „pac“ kropla dęszczu; przed nim téż na ziemię jak padło, zaraz widział, że się na gruby, nagły dęszcz zabiéra. Leciał duchem, coby dopaść wielkiego drzewa i zaraz sobie upatrzył siadłego dębczaka; a no, dopadł wnetki pod gęstwą gałęzi i liścia, wlażł tam, czeka co dalej...

Słyszy,—po gałęziach precz tnie, musi ogromne krople leciały z nieba, bo tak zrazu zaszumiało, jakby stado wron zapadało na onego dęba; ale jemu nic,—siedział sobie, jak w chałupie: Niech się wypada, wydźdzy...

Wtém naraz jak się łyśnie, aż w gąszczu wszystko przejrzał wyraźnie, jak przy latarni, taka się jasność wkoło rozlała. Ledwie co gębę otwarł, chciał powiedzieć: „Wszelki duch Pana Boga chwali,“ a już nie miał czasu... Jak wytnie—warara, tarara, barara!... Huk, gwałt, łomot, rany boskie, żeby się chałupa i stodoła odrazu zawaliły, toby tego jeszcze nie było!...

Wzdrygnął się cały Beldonek i osłupiał; jakże nie miał, kiedy to piorun trzasnął w drzewo zaraz o parę kroków od niego. Tęgi musiał być on piorun, bo z drzewa jak strzępki poleciały gałęzie—wszystko poćwiertowane i swąd taki poczuł dziwny, gorzej niż od zgorzelizny. Już nie miał serca spojrzeć, co się dzieje, jeszcze sobie oczy zakrył rękoma, i jak tylko trochę przyszedł do siebie, tak zaraz co tchu drapnął z tamtego miejsca... Bieży, omal nie płacze z takiej doli, ciągle mu w głowie stoi jeno ów huk okropny z pioruna.

Jeszcze z tamtego impetu nie ochłonał, a już miał co nowego: słyszy po drzewach: „pęc, pęc, pęc;“ pędzi co żywo, a tu go po głowie i powszędny: „łupu cupu, łupu cupu;“ grad taki rznął, ciał

chłopaka do boląca, a z drzew gałązki i liście precz obtrącał. No, cóż? Beldonek uleciał kawalek drogi, — nie do wytrzymania, grad bije a bije. Musiał teraz znowu wleźć pod inne drzewo, żeby się jako tako ochronić; ale miał lęk, strasznie mu było pomyśleć, że i tam także mógł piorun trzasnąć.

Bogu dzięki nie trzasło, uchronił się całkiem; niewielkie rzeczy, że go ta trochę namoczyło i potłukło; nie miał z tego bólu nawet tyła, co kiej go stryjna za plecy wygrzmociła, — więcej strachu niż czego.

Dużo tego gradu w lesie zostało; leżały setne kule lodu w trawie, ziębiło toto i narobiło zimna. Kiedy się poczęło zmięrzchać, chłopak sobie rozmyślał: jak tu będzie nocować w boru? Na ziemi boby mu było trudno wyspać, zmarzłby porządnie w tym lodzie, nie mówiąc już, że w takim lesie muszą być wilki; nie obeszloby się bez tego, żeby się który nie natknął na dziecko, toby zjadł pewnikiem. Beldonek był markotny przez to, chodził po lesie, a wypatrywał gdzie drzewa, żeby noc spędzić jak kura na grzędzie. I wylazł na jedno takie drzewo, bo sobie tam wypatrzył doskonałe siedzenie; zasiadł się okrakiem na gałęzi, plecy oparł o sam pień, a z obu boków miał też takie oparcie, że w żaden sposób nie mógł spaść na ziemię. No i chciał spać w tamtém miejscu, choć sobie w duchu myślał, jak to źle, że

nie będzie spał w chałupie między ludźmi, czyli też w obórce z bydłem, zawdyby mu było raźniej.

Po tej słocie wypogodziło się na noc porządnie, miesiączek weszedł na niebo i świecił galantem. Chłopak, ile że po takich tarapatach, był bardzo senny, to też się zaraz zdrzemnął; ale co tylko oczy zmrużył, a tu nad nim, prosto nad samą głową, jak coś krzyknie: „uuu-huuu!“ On oczy otwarł, wytrzeszczył, gębę rozdziawił i obiema rękoma mocno się gałęzi uchwycił, bo jakby co złego wrzeszczało, to go mogło stamtąd strącić; włosy też Beldonkowi do góry prętem się na głowie podniosły. A to była taka wielka, uszata sowa leśna; ona sobie rychtyk to samo drzewo upatrzyła, siadła i tak pokrzykiwała z umysłu, bo gdzieś blisko musiała mieć małe. Ludzie powiadają, co się takóŜ przytrafia, że zły włazi w onę sowę — wszystko kóli temu, żeby psotę ludziom robić. Niéma dziwoty, że chłopak, już za dnia zestrachany, uląkł się takiego wołania. Ale wziął coś na odwagę i z całej siły trząsnął drzewem; słyszał, że ten ptak zabrał się i odleciał; nie poleciał daleko, jeno opodal znowu zasiadł i jeszcze głośniej wrzeszczał: „uuu-huu!“ Trudno było usnąć; chłopiec spał nie spał, zwyczajnie, jak mysz na pudle. Tak wytrzymał do samego świtania; o świtanu, to się też sowa drzecz przestała; na widoku było mu raźniej i usnął.

## V.

Dzień był już należyty, kiedy się Beldonek na dobre ocknął; popatrzył z gałęzi ku dołowi i widzi, że on spał akurat blisko drogi. Tego dnia wypadł jarmark w Chmielniku, więc nim zlął z ówtego drzewa, spostrzegł, jak pełno ludzi waliło tamtędy. Zwyczajnie,—jeden szedł, drudzy jechali na kołach,—to wiérzchem; gwarzyli, a nikt ta w górę nie patrzył. Chłopak nie chciał z drzewa zlązić, bał się, żeby go ludzie nie zobaczyli; myślał sobie: Jak się toto wszystko przewali, wtenczas złéże. Cóż miał robić? Przyglądał się z wysoka, kto taki idzie,—i zaraz poznał, że szli ludzie z jego wsi, — a jakże, precz poznawał swoich; poznał sołtysa nie tyle z osoby, ile z kałduniastój myszatój kobyły, co miała jedno krowie ucho—takie kłapciaste. Patrzy dalej, a tu na wozie we dwie szkapy jedzie stryjna jego, stryk zaś powozi, rychtyczek oni byli—takusieńcy sami.

— No, moi ludzie — mówi sobie w duchu Beldonek,— to ten Wojtek, taki smarkaty, musi sam dzisiaj zostać doma na gospodarstwie...

Przyjrzał się lepij jeszcze i zobaczył, że stryk wiózł na jarmark te same prosięta, co go to przy korycie przewróciły, jak im zadawał parzone pokrzywę. Stryjna się rozsiała na całym wozie, wystrojona w turecką szmatę na głowie, a na po-

dołku trzymała związanego koguta i dwie siemieniate kokoszki. Tak mu się to wszystko udało, że był rad z tego, co ich widzi, a choć miał złość do onych świnek, byłby którą niebądź w ucho pocałował, bez to jako były z tamtej wsi, skąd i on pochodził. Na tę swoją radość o mało nie krzyknął z drzewa; ale nie krzyknął, wytrzymał, jeno się już ciągiem w nich wpatrywał.

Na jeden raz kur, co miał nogi spętane, rozplątał się jakoś, poskoczył stryjnie z podółka i w nogi, poszedł het w las. Tak stryjna co żywo woła na swego:

— Słyszysz Matus, stój!... Kokot psiadusza w las mi uciekł...

— Prruu, prruu! — ozwie się stryk i zaraz konia zatrzymał, zamotał lejce na drabinkach u wozu, naklął co nieco i za onym kogutem w las się puścił.

A no uciecha była dla Beldonka ogromna, bo się ten kogut nijak nie dał chycić, a jak go już stryk Matus bardzo przyparł, tak on „frrruu,“ i wio na drzewo. Siadł na gałęzi wysoko, wrzeszczy: „To, to, to, to—tak!“ jeno mu się pióra trzęsły w ogonie. Dopiero siemieniatki, co zostały u stryjny na podółku, jak zasłyszały to kogutowe wołanie, poczęły się drżać w niebogłosy: „Kokoko — kowiaak!“ i trzepotały się okrutnie. Tu ich stryjna chce uładzić, lby do kolan przyciska, żeby hałasu takiego nie było, a tu konie

znowu ruszają i lecą przed siebie. Tak stryjna Matusowa łap za lejce, żeby się wóz kaj nie wywalił i nie było większej jeszcze zgłoby; dopiéro te kokoszki myk z woza jedna za drugą i hajże do lasu, lecą bez upamiętania. Beldonek, aż się za głowę złapał, czeka co będzie z takiego utrapienia. Stryjna teraz w lament, desperacya straszna i pomstowanie—na konie, na koguta, na siemieniutki; precz przeklina a wrzeszczy:

— Matus, Matus!... trzymaj, łapaj te psiaju-chy, bo się kaj zadzieją!...

Teraz to już Beldonek chciał z drzewa zawo-łać:

— Rety, co się dzieje!... tać ja wam sam ko-koszki połapię!...

Ale cóż, stryk zaraz przyleciał do woza z bi-czem w rękę; okrutnie był zły, tak zgadał, sklął ją, stryjną, a od złości to koguta tak tarosił pod pazuchą, co ptak aż ślępie na wierzch wywalił. Chłopakowi się odechciało złazić z drzewa, osob-liwie że uważał na strykowym biczu grube wę-zły,— mogło od nich boleć gorzej niż od powroza we dwójkę złożonego. A jak stryk cisnął stryj-nie na wóz tego koguta, to się aż zakurzyło od piérza. I konie się téż na to zaraz ustatkowały, bo im stryk naklął jeszcze setniój, przywiązał lejce mocno, a potém poleciał w las za kokosz-kami.

Beldonek sobie myślał:

— Jakbym ja im wlaźł pod rękę, tobym jak amen w paciérzu oberwał sporo tym batem, — stryk wyłoiłby mi skórę, a rękę mają strasznie ciętą i bat téż niczego... Niech oni ta lepiej już jadą do miasta, a ja swoją drogą polecę do chałupy.

Tak sobie myślał, bo mu się już okrutnie cniło żyć bez chleba i warzy. Ale oni stoją precz na drodze, bo te kokoszki były jeszcze raźniejsze od koguta. Stryk ułowił jedną, a drugiej nijak naleźć nie może, kajsik się zawieruszyła. Nie chciał jój już dłużej szukać, bo się bał pośmiewiska ludzkiego; jadący na jarmark z dobrą godzinę i tak zbałamucił. I ta kokoszka całkiem przepadła.

Przyleciał stryk do woza, był aż czerwony na gębie, tak się rozsierzdził z onego utrapienia; zaraz ostro wsiadł na stryjnę, że ona wszystkiego narobiła:

— Wiész ty Hanka—mówi on,—rozsiaadłaś się sama jak kwoka na jajach, a tobie się tym batem dobrze należy!... Jak ty zatracona wiążesz kury na jarmark? Nie masz w chałupie podostatkiem pakuł, żeby sznurek porządny ukręcić... A nie, to łykiem możesz powiązać bestye jednej!...

I aż się trząsał cały ze złości, kiej na wóz siadał, a potém zaczął z miejsca konie tak okładać, że rwały jak wściekłe.

Musieli co prędzej jechać, bo był wielki czas na jarmark; tak pojechali żywo, jeno się stryjna ciągiem jeszcze oglądała za siebie, niby czy nie dojrzy kaj tamtój siemieniatki.

Już byli het wdali, gdy dopióro Beldonek zlązł z drzewa i powiada sobie:

— No, jak ja téż tutaj tę kokoszkę znajdę, to mi lżej będzie wracać do chałupy, bo się stryjna zcieszy, że jój zgubę wróczę... Przecie mnie za znaleźne nie wygrzmoci.

Z wysoka na gałęzi to on dobrze widział, w jaką stronę która kura uciekała. Poszedł zaraz w zagajniki i począł płoszyć po gąszczu; chodzi w koło, precz woła: „A siiii, a siiii!“ Naraz ta kura wyskakuje mu z pod samych nóg z okrutnym wrzaskiem i taką nagłością, że go o kęs nie przewróciła, a potém leciała już pół na skrzydłach, pół na nogach — piechotą.

On gnał za nią, zawziął się, żeby ją złapać; kurze jeszcze nie dałby rady? Pochwycił siemieniatkę, ścisnął ją pod pazuchą, a tymczasem ukręcił z trawy powrósełko jedno, drugie, związał jój nogi i skrzydła; zabrał się i idzie, myślał, że do chałupy trzeba już wrócić.

Uszedł parę stajanek drogi, spojrzy, a tam pod drzewem siedzi dziadek z brodą siwiuską do samego pasa. Zastanowił się chłopak, a stary mówi:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — odrzekł Beldonek.

Tak ten dziad znowu:

— Pomógłbyś mi oto, chłopysiu, powstać, bo widzisz, stare już mam kości i jak gdzie siądę, to ich potem wyprostować nie mogę... Pan Jezus ci odpłaci nie na tym, to na tamtym świecie...

A no, chłopak podszedł i podparł sobą starowinę, a swoją drogą kurę mocno ściska w garści.

Skoro ten dziad wstał, oparł się na ogromnym kosturze, tak pyta chłopca:

— Skądżeś ty mały? Może z jarmarku wracasz z tą kokoszką?

— Bogać mam iść z jarmarku! Do chałupy a to idę z lasa.

— Z którejżeś ty wsi taki?

— Mam wam powiedzieć, kięj sam nie wiem, jak się moja wieś nazywa... Tyla co strykowi memu—Matus, stryjnii—Hanka, a temu ich chłopakowi — Wojtek.

— Czyjaż to kura?

— Naprzód boska, potem moja, kiedy się ta już zwydrzyła w lesie i złapałem.

— Kiej twoja, to mi ją sprzedaj; co ci po kurze?...

Beldonek się podrapał po głowie, bo naprawdę nie wiedział, czy ta kokoszka jest jego, czy strykowa.

— Czegoż myślisz? Dam ci czeski samymi groszami...

Chłopak znowu myśli, bo zapomniał, siła to czeski znaczy na pieniądze. Ale patrzy, że u tego dziada sakwa pełna kromek chleba, tak go oskoma chwyciła, podchodzi i powiada:

— Możebyście wy, dziadku, dali mi okruszynę chleba, bom tego okrutnie łaknący...

— A jakże, dam ci, dam!—powiada dziad, i zaraz wyjął z torby jedną kromkę, dał ją chłopakowi.

Tak Beldonek to zjadł, tylko się oblizał, i ciągle jeszcze łakomo na sakwę spoziéra. Dziad widzi, co się święci, więc mówi:

— Jadłbyś widzę, ale się obejdz smakiem; jak mi tój kury nie sprzedasz, to już chleba nie dostaniesz.

Dopiero chłopak wziął i dziadowi siemieniatkę sprzedał, ale się o zapłatę nie upominał, bo sobie myślał: „Co mi ta po pieniądzach.“ Młodziak taki jeszcze był, to nie miał do pieniędzy rozumu; ów dziad mu też nie płacił, choć kurę stargował i do torby schował,— tylko mu dał jeszcze drugą kromkę chleba.

Kiedy weszli z sobą w rozmowę, to już Beldonek wszystko wyśpiewał temu dziadkowi: — jako mu matusia zmarli, jako go stryk i stryjna skatowali, jako szedł na tamten świat do matusi, jeno sobie drogę w lesie zmylił i zabłądził.

— Ha, no, kiedy ci tak źle na świecie—powiada dziadek, — to się zabierz i pójdź ze mną. Idę

oto do Częstochowy na odpust, nie wiem, czy tam za cztery tygodnie zajdę; ale co ci ta—mówi,—zażyjesz świata i obaczysz kaj co jest.

## VI.

Jak się już Beldonek raz zmówił z onym dziadem, tak poszli w świat—gdzie to tam.

Wyszli z lasu na prostą drogę, a dziad zaraz pyta chłopaka:

— Beldonek się mianujesz, — nie wadzi; ale umiesz też ty jako tako śpiewać?..

— Czy ja wiem; śpiewałem sobie czasem na wsi, ale zrzadka jeno; trochę umiem takich śpiewek, co u nas pastuchy śpiewają...

— Zaśpiewajno co godnego, zaraz zobaczę!

Chłopak ani się namyślał, bierze i śpiewa:

„Wojtek łysy  
Chyta mysy,  
Która tłusta,  
To ją schrusta:  
Która chuda,  
To ją psu da.“

— I takie jeno same zbereźne śpiewki umiesz?... Na nic się zdało; bo ci trza nabożnie śpiewać.

— Jakże wy znowu chcecie, żebym śpiewał?

— Możesz kiedy słyssał:— „Straszliwego majestatu,“ albo „Gwiazdo morza,“ czy „Kto się się w opiekę?“ Słyszałeś, he?...

— Toć mi się cosik ochapia, musi słychałem, jeno nic z tego nie pomnę... Będzie chyba to, co kiej chłopaki chodzą po wsi z gwiazdą, pośpiwują przed chałupami: „W złobie leży, kto pobieży,“ no i — „Anioł pasterzom mówił...”

— Juści, juści — oni śpiewają nabożnie! Za takie widzisz nabożne śpiewanie ludzie każdemu dadzą chleba, łyżkę warzy, jaje, albo i pieniądz... Powinno się tyła tak śpiewać, żeby się aż popłakali.

— Moiście wy, tegom nie wiedział.

— Pamiętajże sobie raz na zawszel... A umiesz ty prosić Pana Boga?

— Pewnikiem mówicie o żegnaniu się: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“ A jakże, umiem! W pierś się takż biję: „Bądź miłościw niegrzesznej duszy mojej...”

— Coniebądź sprofitowałeś... Powieźdz na głos paciérz!

Chłopiec zaczyna trzepać, ale nie mógł nijak trafić do końca, ciągiem robił zmyłki.

Więc mu dziad dopięro rozpowiada:

— Przysłuchajże się, jak ja będę do Pana Boga gadał, i zaraz potém za mną to samo precz powtarzaj! Jak ja głośno jakie słowo powiem

ty mów tak samo, a jak ja przycichnę, ty także spuszczaś z głosu. Bo widzisz, nie można tak la-dajako przepytłować, kiej człowiek drugich o jał-mużnę prosi... Za cóżby dawali?

Nic, dobrze wszystko, szli dalej, het rozmawiają, a tu jakiś dwór stał przy drodze. Dziad znowu napoczyna do chłopca:

— Zajrzyjże mi przez balaski, czy tam na podwórku psy jakie nie leżą?

Beldonek zaraz zajrzał i powiada:

— Żywěj duszy nie widać.

✚ Dopiero stanęli przed oknami tego dworu, obadwaj zdjęli z głowy czapki, a dziad ogromnie grubym głosem zaczął powoli odmawiać paciérz, słowo za słowem; chłopak precz za nim wszystko powtarza, — aż grzmiało, jak kapela jaka. Już przeszli przez: „Chleba naszego powszedniego,“ kiedy im ze dwora akurat wynieśli chleba pajdę i do tego cztery grosze. Tak dziad już nie skończył paciérza, jeno mruczy do chłopaka:

— Niéma co kończyć, bo oni nam tu już nic więcéj nie dadzą... Pójdźwa — „Jaaamen!...“

Zabrali się i poszli.

— Słyszysz mały—powiada dziad,—weźże mię teraz za rękę, a ja zamrużę oczy i będę niby to ślepy; w taki sposób, baby się na wsi prędzěj wzruszą, a jak się już wzruszą, to i opatrzą.

Dobrze. Przyszli do chałupy jakiegoś gospodarza, stanęli na progu i zaczęli jeden z drugim

śpiewać pieśń o Św. Mikołaju, coby on patron pamiętał o godzinie w tém gospodarskiém obejściu. Beldonek ta nie umiał owój pieśni; zwyczajnie, beczał tylko do wtóru, żeby była większa parada. Odrazu to gospodynię chwyciło za serce, że niby o bydłętach jest pomyślenie; no, wypadła przed chałupę, popatrzyła trochę i pyta chłopaka:

— Co to?... Ślepego dziadunia widzę oprowadzasz?... Chudziątko moje!...

— A jużci, rychtyk co tylko przed chwilką zaniewidzieli...— mówi Beldonek; tak mu się jakoś powiedziało i mógł tego dziada jak nic zdradzić.

Dopiero dziad go ogromnie ścisnął za rękę, żeby się takie udawanie nie wydało. Jeno ta gospodyni nie dosłyszała jacy, co chłopak mówił; bieży do izby i wnet im wynosi sporą partykę chleba a także skrawek skórki ze szpérki.

Skoro już byli na drodze, tak się dziad zaczął gniewać, że chłopak nie umie z ludźmi gadać, bo powinien był przed tą babą powiedzieć:

— Moja gospodyni, dziaduś już dawno oślepli...

Był teraz dziadek z Beldonka nieosobliwie kontenty, i zapowiedział mu, żeby drugi raz lepiej gębę stulił, zamiast tak gadać.

Nabrali we wsi chleba, co go już oba nie mieli kaj wtykać, nazbierali jajek i trochę grosiwa. Już było dobrze pod wieczór, kiej sobie siedli za wsią pod męką pańską, żeby się odrobinę posilić. Podjadali sobie tak, a tu drogą jechało państwo

jakieś we cztery konie; z wierzchu ta jeno furmana było widać, bo państwo siedziało w karęcie. Widzący to, dziad mówi do chłopca:

— Pokażże przecie swój rozum, poskocz przed te konie, a krzycz z całej siły:— „Litościwe państwo, dobrodzieje, dajcie grosik ślepemu dziadkowi-kaléce!“ Drzój się wyraźnie, nie żałuj gęby, żeby cię usłyszeli tamci, co siedzą w karęcie.

Beldonek zaraz skoczył przed konie, leci wedle tój karéty, a na cały głos wrzeszczy tak, jak mu dziad był przykazał. Zaraz jakoś ta karéta przystanęła i wychyliła się z niój pani śliczności, jak jaka święta z obrazu, zawołała do siebie Beldonka; ale mu dokumentowała coś tak osobliwie, że ani słóweczka nie rozumiał. Potém mu dała piętnaście groszy.

Strasznie się dziad z tego zcieszył, pogłaskał chłopaka po gębie i powiada:

— Na, masz jeszcze kromeczkę chleba! Pamiętaj, żebyś tak zawdy robił, to nam obu będzie dobrze!

Podjedli sobie, niczego; już o zmierzchu zaszli do Pińczowa. Ledwie tu przyszli, zaraz ich zaczepiła jedna żydówka i molestuje:

— Ny, dziadku, macie pewnie jajka do sprzedania?

— A jakże, mam — powiada dziad,— nie tylko jajka, ale i kurę, co je może wysiedzić; kupcie, bo to tak, jakbyście kupili kurę z kurczętami!

To powiedział i zaczął gmierać wszędy, wywłóczył jaje po jaju; zgolił pieniądze, a za tę siemieniatkę pono mu zapłaciła żydówka aż sześć czeskich. Już mu teraz lżej było z pieniędzmi; tak się dopióro odzywa do Beldonka:

— Pójdziemy na Mirów do klasztoru Bernardynów; jest tam mój przyjaciel Skubała, dziad takż, to on nas przenocuje.

Beldonek pierwszy raz w życiu widział takie miasto, nie mogło mu się w głowie pomieścić, że to wszystko na jawie prawda; aż oniemiał i szedł cicho przy dziadku, nie śmiał pary z siebie puścić.

Nareszcie doszli do klasztoru, a chłopcu było dziwno, co ten dziad sam wszędzie trafił, nawet o drogę nikogo nie pytał, jeno prosto walił, jak w dym. Dopióro koło klasztoru pytają o dziada Skubałę; ledwie się dopytali, bo go tam nikt nie nazywał Skubałą, jeno Szczepanem. Prowadzą ich ludzie do niego; ale on sam nie mieszkał, tylko był jeszcze drugi dziad przy nim.

Osobliwie wyglądało dziadzisko, ten Skubała, chłop taki przysadkowaty; miał jeno nos z tyli, co dobra gruszka, a okrutnie czerwony, jakby się palił. Jak do człowieka zagadał, to ten jego głos jakby dudnił gdzieś w bebeczach. Kiej zobaczył onego dziada z Beldonkiem, tak się bardzo zradował i woła:

— Florek przyszedł, Florek!... Myślałem, że cię już kaj robaki jedzą, a tyś jeszcze jak byk zdrów...

Wtenczas się oba dziady pocałowały w gębę, i Skubała zaraz woła na drugiego dziada, co z nim mieszkał:

— Onufer, rozpal-no ogień, upryczysz jęczmiennój kaszy ze szpérką, tylko żebyś nie przetail!...

To ten Onufer zaraz się wziął do roboty, a Skubała znowu wyciągnął jakąś flaszkę, przychodzi do Beldonka, daje mu ją, wtyka do garści trochę trojaków i powiada:

— Ty, smarkaty, machaj tu naprzeciwko do szynku i przynieś za to gorzałki!...

Chłopak był rad, że go ten Skubała miał za co, poleciał z flaszką i myślał po drodze o wszystkich onych osobliwych rzeczach, i o tém téż, że jego dziaduś nazywa się Florek. Porządnie się sprawił, kupił gorzałki, przyniósł. Teraz się kasza dotaila w sam raz i tak pachniała—widno od szpérki, — że Beldonek oka z niéj nie spuszczał.

Tak dziady napili się coś ze trzy razy gorzałki i zagryzali to kaszą; ale chłopakowi dali w jakiejs skorupie tyla saméj kaszy i chleba do tego, że niby taki mały nie powinien jeszcze napijać.

Jak sobie już i dziad Florek podjadł, powiada do chłopaka:

— Legnijże i śpij, wypocznij teraz na zdrowie, bo jutro po rannéj mszy pójdzie do Jędrzejowa...

— Chodziłem ci nieraz na Jasną Górę i sam i z kompanią — mówi Skubała, — nie żadna tota Ukraina; z Jędrzejowa, to można na Włoszczowę i Koniecpól... Niechby ten mały przyniósł nam jeszcze gorzałki, i tak się wyśpi!

Chłopak znowu w dórdy poleciał z flaszką po gorzałkę; ale kiedy już wracał, coś mu szeptało: „Pokosztuj, musi być dobre, kiedy tak ludziom smakuje.“ Skosztował: — słodkie nie słodkie, okrutnie jakieś tęgie, a na języku miluśkie i grzeje.

— Nie łyknąłeś ty? — pyta Skubała, a w oczy mu ostro patrzy, aż chłopaka krew oblała.— Ruszaj teraz—powiada—tam do sieni, — leży dosyć słomy, to się w niej zagrzeb i wyśpij!...

Poszedł Beldonek, tylko coś zasnąć nie mógł, bo w téj słomie były okrutnie złe pchliśka,—musi głodne, tak strasznie ciężły; chłopak przewracał się jeno w barłogu. Słucha, a tam w izbie ci trzech dziadowie na cały głos gwarzą; mamrotali coś jeden przez drugiego. Nie mógł wytrzymać z ciekawości, żeby nie podejrzeć i nie podsłuchać. Wstał, zagląda szparą we drzwiach, a tu jego Florek zakasał sukmany, przytupuje i śpiéwa:

„Jakem ci szedł od Warszawy,  
Dziwki na mnie precz warczały:  
Jaka taka—wyr, wyr, wyr!...  
Wyjadły mi z torby sér.“

Dopiero chłopak sobie miarkował w cichości, czy on Florek nabożnie, czy nie nabożnie wyśpiewuje. Ale nic nie wiedział, co to za śpiewka taka, tyła mu się bardzo udawała bez to, że one dziewczki warczały i sér wyżarły z torby.

---

## VII.

Na drugi dzień raniutko była msza święta księży i cała starszyczna przy kościele włązili; precz w głąb, szli ku ołtarzom, a dziady zostawali zaraz z początku — przed kościołem, albo w kruchcie. Beldonek takiego ślicznego kościoła nigdy jeszcze nie widział; zajrzy, a tam wszystkie anioły i świętki aż się mienia od jasności, złoto i srebro omal z nich nie kapalo, a był ogromny huk wszystkich tych świętości. Zaraz sobie pomyślał: „Tu się ludzie mają do czego modlić.“

W nabożeństwie parada ogromna, nie tak jak na wsi; na organach grało porządnie, to grubo to cieniuško i ktoś jeszcze musi śpiewał, wycią-

gał het przepięknie; co tu gadać — nabożeństwo okrutne, śliczności... Księża jacyś inni, nie tacy czarni, jak zwyczajni, jeno odziani w sukmany niekiej chłopskie, ale nie takie, — opasani precz bieleńskimi powrózkami, co się tylko wężły od nich dyndały; na nogach miał każdy trzewice i jak szedł przez kościół, to od nich jeno huczało. Mniejsze znowu księżycki usługiwały starszym koło ołtarza przy mszy świętej, — wszystko do czysta wygolone, precz aż na głowie w środku umyślnie mieli takie łysinki.

Lud tam w mieście bardzo nabożny, co kto znalazł do kościoła, zaraz bęc na ziemię, padał na kolana, składa we dwoje ręce, a żegna się, a w piersi bije, podłogę świętą całuje. Udawały się chłopakowi te rzeczy, rad był, że z dziadem Florkiem w szeroki świat poszedł i, jak ręką odjął, odrazu przestał cnić za chałupą.

One dziady porządkiem na ławeczkach usiadły po jednej stronie, a po drugiej zaś prozalne babki, — dopiero się to modliło, tyła słyhać tak było, jakby kto nieprzymierzający pogwizdywał sobie, bez to, że tak szeptali ciągiem paciérze. No, a tego Florcka, to Skubała usadził przed samym kościołem, bo jako obcy przyszedł tam w goście, więc mu dali najlepsze miejsce do zebrowania; jaki taki człowiek miastowy wchodził do kościoła, zaraz bierze i daje: za dusze zmarłych, czy do Opatrzności boskiej — wszystko ró-

wno. Florek już był taki majster, co każdziutkiego pocieszył. Jak sobie klęknął, jak rozłożył ręce, a otworzył gębę i rozpuścił język, to precz szło z niego jedno nabożeństwo za drugim. Kiej przyszedł do miasta, do Pińczowa, to tu jałmużny nie tknął w gołą rękę, jeno wy dostał z zana drza taką malowaną miseczkę i w nią mu ludzie kładli, co łaska. On rozpowiadał, co tak lepiej, bo w rękę można dziadowi wrazić co niebądź, a jak się ciska—wszyscy patrzą; więc te miastowe ludzie lubią się pokazać i w jakieniebądź naczynie zawdy więcéj wrzuca, niż do ręki.

Skubała bo sobie ta widać w niczém miał takie rzeczy, mrucał i mrucał pod nosem, mówił, że w powszedni dzień się nie opłaci dziadowi molestować; jak widział, że nikt na niego nie patrzy, to się rozwalił na ławce, kieby szlachcic, i ziewał dopiero ogromnie, aż het naokolusienko było sły chać, jakby go sen duży morzył. Ponoś ten dziad miał ogromną podufałość do kościoła i do wszystkich ojców duchownych z tamtego klasztoru, więc mu się dobrze dziać musiało.

Skoro się skończyła msza święta, wychodzili z kościoła ludzie; to ten, to drugi jeszcze teraz prędzój sypnął co dziadowi, bo niby skruszeli od nabożności.

Kiej toto poszło do domu, dopiero powiada Skubała Florkowi:

— Nie będziesz mi ty stąd odchodził o suchéj gębie, idąc osobliwie w daleką drogę do cudownego obrazu... Trza ci się nieco pożywić.

A no, odszedł ten Skubała i pono powiedział tam w klasztorze, komu patrzy, jako Florek z małym chłopakiem wybrali się i idą na Jasną Górę do cudownego miejsca. Zaraz ich tam suto obdaryli, naleźycie, dali chleba, tego i owego, osobliwie że starszy z onego klasztoru miał przyjacielą w Częstochowie i pismo do niego przez Florka chciał posłać. Jak im już ptasiego mléka nie brakowało, tak ich wyprowadził za klasztor ten Skubała i znowu mówi:

— Słuchaj Florek, oberwałeś sporo ochłapów w klasztorze, ale ci się napić nie dali; daléj, wstąpmy, mieszka tu naprzeciwno mój znajomy szynkarz, dziady u niego zawdy pijają...

Niebardzo się ta o to certował Florek; wchodzi, a tam już różni piją, tak Florek trąca Skubałę, że niby nie uchodzi pić przy takich, co to przed chwilką opatrzyli dziadka jałmużną. Ale Skubała mu na to:

— Głupiś, czy to dziad nie człowiek? Wódki-bym się strachał, kiedy ją pić potrafię, jak i drudzy.

Wypili po kieliszku, po drugim. Skubała koniecznie chciał, żeby jeszcze pili; ale Florkowi ciągle było pić nijako przy tych naboźnych ludziach, tak rzecze:

— Nie chcę już, nie mogę, bo się ochlam!... Pan Bóg się rozgniewa i pijanego dziada ludzie potem nie opatrzą, jeszcze się każdy z niego będzie natrzęsał.

To sobie Florek przez ono powiedzenie zrobił uważanie u tych ludzi, co prosto z nabożeństwa poszli do karczmy.

Nie pili więcéj, jeno się pożegnali, a Beldonek na odchodném pocałował w rękę tego Skubałę, żeby go uczcic.

Idą przez miasto, a chłopak się teraz przy dniu nadziwić nie może, takie wszystko piękne; patrzy — na górcie nad miastem znowu stoi kościółek, a w samém mieście jeszcze jeden wielki kościół z okrutną dzwonnica. Aż się zdumiał, bo nie myślał, żeby gdzie trzy kościoły razem stały tak niedaleczko od siebie. Domiska téż widział ogromne, het miały we dwa rzędy okna — gdzie to tam chłopska chałupina. Najbardziej mu się w głowie pomieścić nie mogła cudaczna studnia na środku miasta, co woda z niej sikała wysoko w górę, i potem znowu, jak deszcz, leciała ku dołowi. Nie śmiał się ani odezwać do dziada, ile że ten ciągle pacierze wymrukiwał, póki szedł przez miasto — umyślnie, że niby bardzo pobożny.

Oglądał się Beldonek na wszystkie strony i zaraz sobie myślał:

— Jakie też to szczęśliwe narody żyją na świecie; tać tym ludziom w raju lepićby nie było!

Jużby teraz nigdy nie zabaczył, że to miasto z trzema kościołami nazywa się Pińczów, tak go wszystko jakoś tu otumanilo.

Zeszli na dół miasta — wszędzie kamieniami droga wyłożona, twardo, aż miło. Zaraz za miastem okrutna woda — Beldonek myślał, że to morze takie, a to rzeka i na niej mosty jeden za drugim, ogromna wysoczyzna, aż strach bierze z góry na dół spojrzeć. Różni jechali tamtędy, co jeno dudniło, jakby grzmiało.

Jak już przeszli nad tą wodą, tak Florek schował różaniec do torby i powiada:

— Pójdziwa teraz przez wieś jednę, przez Pawłowice; będą tam strasznie złe psiska, nie znajdzie chyba drugich takich w Koronie polskiej; dziadowi ani się pokazać nie dadzą sobaki... Musi ciarach tamtejszy we dworze skąpy, nie chce biédnego wespréc, to sobie umyślnie chowa psy takie — hamany. Ale nie bój się, mam ja tu i na nie lekarstwo.

Zaraz wyjął z torby okucie, taką szeroką obrączkę, co na niej pełno było ostrych gwoździ i przymocował to sobie tęgo na kosturze, a do chłopaka mówi:

— Leć-no przodkiem, nie zostaj mi z boku ani z tyłu, bo jakby cię który pies dopadł, toby z ciebie mógł kalékę zrobić, a u nich nie kupić tego.

Poszli śmiało. Stoi na górcie bielutki dwór i zaraz wedle niego bieży gościniec, zwyczajna polska droga.

Ani się spostrzegli, jak wypadło ogromne psisko, widno ich zwałchało zdaleka; było jakieś żółte i całe w kudłach, rzucało się po drodze nikiej wiązka słomy. Beldonek aż struchlał, bo to ni-by pies, a może co gorszego; tak chłopak zaraz myk przed dziada, ale ten go kolaniem dobrze pchnął i ze złością woła:

— Bodajeś ty spuchł! Czego się psianogo pchasz na mnie? Chcesz, żeby nas obu te bestye rozerwały na sztuki?... Dymaj naprzód, nie włącz mi pod nogi!... One ta takiego śpika nie będą tykały.

Miał słusność Florek, bo psy zleciały się wszystkie do jego kija, co go z tyłu wyciągnął za sobą jakby ogon i ciągle nim merdał a merdał. Co który pies dopadnie — łap zębami za tego jeża, bo się dziadowskim jeżem nazywa taka pałka. Ale psom nie szło w smak to chwytanie; zaraz potém jeden narobił straszego skowytu, tak się ciężko okaléczył,— drugi oblizywał się tylko, widać mu było nie na rękę, że gryzł jeża; musiały im one gwoździe ciężko zaszkodzić

w gębach, bo jedne bliżej, drugie dalej precz poprzystawały na drodze.

I tak się skończyło z psami w Pawłowicach; Florek poszedł dalej cały, ani go najmniejsza ślina nie doszła od tój psiěj złości.

---

### VIII.

Tego dnia już się nie dowlekli do Jędrzejowa, nie bez to, żeby nie mogli, jeno Florek chciał przenocować w karczmie niedaleko od miasta.

— Po co ta koniecznie gonić za miastem?—mówił do chłopca, — czy mnie to pieniądze korcą? Tać tu nocleg zawdy taniěj wyniesie, a jak będą ludzie, to może być jeszcze zarobek.

Takuteńko było. Do karczmy się tóż naszło ludzi, bo to było przed świętem. Prosto z pola przyszli tam żniwiarze; kto miał, wypił, a drugi nie przyszedł dla picia, jeno sobie pogwarzył z ludźmi bez niczego, o czechėj duszy. Lazły tóż i dziewuchy pośpięwujące; wiadome rzeczy, że kaj bab dużo, to tyła pełno gadania, bo każda chce swoje trzy grosze wścibić; no i wyszczerzają zęby bez nijakiej potrzeby. Cóż na to człowiek pomoże, kiej takim sam Pan Jezus rady nie da?

Napił się Florek półkwaterek, zagryzł skórka od chleba, ale nie siedział dłużej w karczmie; idzie na dwór, spocznie pod ścianą i woła do siebie Beldonka; sam jadł i chłopakowi dał także przekąsić. Skoro już ten mały zjadł, co dostał, tak dziad mówi do niego:

— Słuchaj-no ty, co ja ci powiem: taki rak, kiej podje, to nie dość, żeby sobie gębę obtarł, jeno ma jeszcze dobre słowo rzec temu, kto go żywi... Ja ci teraz tak jestem, jak ojciec, a widzę, coś tego jeszcze nie zmiarkował, to więdz!...

Na to Beldonek zaraz dziada za rękę chwycił i z całego serca pocałował.

No, dobrze. Jedna, druga, trzecia dziewczka precz wychodzą z karczmy; nie dziwota żadna, że kiej zobaczyły dziadka z bieluską brodą, przystają a wypytują: skąd, dokąd, jak, co?

Florek je ta zbywał, co niebądź jeno odpowiadał. A im strasznie dziwno było, że ci dwaj idą aż do Częstochowy; tak się to jakoś obniosło po karczmie, wyległo stamtąd pełno ludzi, aż się czerniło koło karczmyska i każdy chciał zaś wieździeć, co za jeden dziad taki. Dopięro im Florek rozpowiedział, jako on jest niekoniecznie taki zwyczajny dziad proszalny, jeno chodzi jacy po samych cudownych miejscach. Jeszcze więk-sze było z tego dziwowisko, bo ci ludzie nigdy nie widzieli człowieka, co był niby pielgrzym. Każdy chciał z nim pogadać dla honoru; ale Flo-

rek udawał, że nie jest rozmowny. Z babami dopióro nie mógł sobie poradzić, jak się go uczepiły. Jedna powiada:

— Znacie pewnikiem różne piękne nabożne pieśni?

— Jeszczeby nie!

— Maryśka—woła druga dziewczucha,— proszę ich, niech nam co zaśpiewają...

Tak owa Maryśka w prośby, molestuje dziada, napiéra, żeby koniecznie co odśpiewał; on nic, siedział pod ścianą, jak mruk.

Wtenczas te dziewczki znowu terkotają między sobą:

— Ej, ej, dziadus widać żadnych pieśni nie znają i bez to nie chce śpiewać!...

Tknęło to Florcka i zaraz pyta:

— A o jakiej wy pieśni gadacie?

Dopiero ta Maryśka podchodzi i powiada mu:

— Jest jedna pieśń najpiękniejsza o świętym Łazarzu, jeno mało kto ją na świecie umie...

— No, a co będzie jak zaśpiewam?...— rzeknie Florek. — Cóż wy sobie myślicie, że ja na stare lata będę głos sobie targał darmośnie?

Tak one między sobą — szep, szep, — jedna z drugą rada w radę, bo im się duchem oniej pieśni zachciało, bez to, że taka rarytna.

Nadchodzą parobki, a te dziewczuchy im wszystko opowiadają od początku do końca.

— Ha, cóż! dobrze robi dziaduś — mówi jeden parobczak, — kiej wam się zachciało śpiewania, złóżta się, to on zaraz przemówi.

Dziewuchy się chichocą, ale poczęły się składać: ta stąd, tamta zowąd, powywlóczyły precz groszaki, zebrały tego coś dwa czeskie razem. Owa Maryśka kładzie Florkowi na kolano te piędziadze i mówi:

— Co mawa, to dajewa — zaśpiewajcież!

A no, wziął w rękę, po omacku waży, siła tego być może, a kręci głową; ale schował. Potém sobie odchrząknął parę razy, a tu się wszyscy zaraz ucisz yli, jak makiem zasiał. Teraz dopięro Florek na cały głos krzyczy:

— „Pieśń o świętym Łazarzu, co się rodzony brat nad nim nie zlitował, a anieli pańscy wzięli go do nieba; tamten zaś zły brat dotąd jeszcze w piekle gore...“

Powiedział rychtyk, jak ksiądz z ambony, tyła może jeszcze bardziej różnych wzruszył. I w tę pędy zaczyna śpiewać, wyciąga tak czysto, co się każdemu chciało słuchać:

„Co się stało przed laty,— Jeden człowiek bogaty  
Z złota, srebra miał szaty.  
Jadł, pił, tylko tańcował,— Dzień i noc bankietował,  
Pychę w sercu swém chował.  
Siedział, jak pan, w pokoju,— Miał dość potraw, napoju,  
Nie pomniał, że brat w gnoju,“ i t. d.

Śpiewał tak, a wszyscy ogromnie słuchali. Tak sobie zaraz myślał Beldonek, że jego Florek jest człowiek bardzo mądry, skoro wszystko tak wie z pamięci.

Ale cóż? Florek prześpiewał:

„Mam aksamit, purpury,— Lisy, sobole, wilczury,—  
Na tobie łachy, dziury...“

No, i urwał, przestał śpiewać, choć jeszcze całej pieśni nie wyśpiewał, i ani myśli dalej. A tu ciekawość ogromna, osobliwie też baby wołają na wszystkie strony:

— Co dalej? co dalej?... Śpiewajcie nam, dziadusi, co się stało ze świętym Łazarzem?...

On nic, jak się zaciął, tak ani rusz, śpiewać im nie chce. I byłby tej pieśni nie dośpiewał do końca, bo go te dziewczuchy nijak już uprosić nie mogły. Ale parobcy się też okrutnie rozciekawili, tak jeden skoczył po rozum do głowy i powiada:

— Dalej, chłopaki, złóżwa się jeszcze na dwa czeskie; taka pieśń warta, niech dośpiewa!...

Dali mu znowu. Śpiewał już do samego końca, a oni się strasznie bali, żeby jeszcze gdzie nie urwał. Co prawda, to się znowu raz zatrzymał, jak prześpiewał, w najciekawszym miejscu:

„Już tłustość z ciała spadła,— Ujmują mu czarci sadła,—  
Twarz nie żąda zwierciadła...“

Jeno on urwał tak sobie z psoty, zrobił im figła, żeby widzieć, czy im téż będzie bardzo markotnie bez końca pieśni. Choć skończył, wszyscy pytali, czy to naprawdę już koniec? bo im żal było, że więcéj nie usłyszą.

---

## IX.

Nazajutrz, kiedy dobrze zedniało, wstał Florek, zęgną się krzyżem świętym, odmawia paciérze, a na chłopaka woła:

— Pcdziękuj Panu Jezusowi, żeś dobrze noc przespał i szczęśliwie dnia doczekał...

Chłopiec zrobił to, jak umiał.

Idzie dziad do karczmarki i pyta:

— Siłaż pani gospodyni chce za to nocowanie biédnego w izbie?

— Od takiego — ona powiada — jeszczebym zdiérała? a toby mi na tamtym świecie spokoju nie dali!...

Nie wzięła nic za nocleg, a do tego ich opatrzyła.

Więc poszli ku Jędrzejowu, co takóž jest miasto, choć nie takie, jak Pińczów, daleko mu do tego.

Myślał Beldonek, że się tam dziad wcale nie zatrzyma, ile że było blisko od karczmy, gdzie

nocowali. Ale Florek zaraz na rynku pyta jakiegoś:

— Nie wiadomo panu, kaj tu poczta?...

Ten się patrzy, na co im poczta? i odrzeknie:

— Tam, tam w ulicy, od samego brzegu.

Idą szukać téj poczty; zaraz poznali gdzie: jedno z tego, co malowany orzeł wisiał jak nad gminą, a drugie—z trąbki. Wchodzą do kancelaryi, a tam, choć przy święcie, siedzą pismaki i gważdzą piórami po papierze. Florek odrazu boskiém słowem przemówił; ci zaś do siebie:

— Skaranie boże, bania z dziadami od rana się rozbija!... Niech Pan Bóg opatrzy, idźcie dalej!

Chłopak myślał, że dziad pójdzie; ale ten się niziutko skłonił i rzecze:

— Moi wielmożni panowie, napiszcie mi dwa słowa, to za jałmużnę stanie, a Bóg wam w niebie nagroził!...

Ci się widać zadziwili, bo odwrócili głowy od stolików, kaj pisali, i spoziérają, czego ten dziad chcieć może.

— Jakież to dwa słowa? — pyta jeden.

— Jacy niech mi państwo napisze na karteczce:—„powiat Stopnicki, wieś Januszowice...”

— A wam to po kiego dyabła?—powiada drugi.

— Starowina widzicie jestem, pniaczek jeno z chłopu został; jakby mi się gdzie w drodze zmarło, niechże znak przy mnie będzie, zkad po-

chodzę... Włożę to sobie do torby, żeby po śmierci ludziom jasno było.

Tak oni urzędnicy spojrzeli po sobie i jeden na drugiego jakoś mrugnął:

— Napisz mu! — powiada któryś.

Jeden z nich wziął skrawek papieru i na poczekaniu napisał, a jeszcze pyta:

— To może napisać i nazwisko wasze?

— Ha, jeśli łaska — mówi Florek, — bo ta już nie śmiałem prosić o tyle fatygi; zowię się—Flo-ryan Myszka...

I pismak mu wypisał, jako się tak nazywa.

Potem odeszli z poczty, a dziad sobie schował ten papier do zanadrza, gdzie nosił szkaplérz i poświęcony mentalik. Beldonek całkiem nierozumiał, na co się przyda taki papier z pismem; jeno sam Florek musiał to doskonale wiedzieć.

Od Jędrzejowa szli prosto do Nagłowic, a po drodze dziad się rozgadał, bo chciał chłopaka czego więcej nauczyć.

— Nie wstyd ci—mówi,— nie umieć „Dziesięciorga przykazań?...“ Cożeś to niechrzczona dusza, żyjąca bez żadnego chrześcijańskiego zwyczaju?...

Chłopak jeno słuchał, bo nie wiedział o co chodzi; dopiero go Florek zaczął uczyć jednego przykazania po drugim. Najgorzej szło od początku, jako te pierwsze przykazania najtrudniej spamiętać; aż się chłopczyzna zbeczał, bo go dziad

kóli lepszego pomiętania setnie zgadał i odrobi-  
nę poturbował. Nim przyszli do Nagłowic,  
Beldonek już po drodze niezle repetował. Kon-  
tent był, że się nauczył, bo sobie ciągiem sam  
powtarzał, póki nie umiał bez żadnego zastano-  
wienia.

W Nagłowicach zaczęli żebrować; weszli do  
pierwszój zagrody, stanęli na podwórku, tak  
Florek powiada:

— Wypowiedzże, co umiesz:—naprzód paciérz,  
a potém przykazania po kolei.

Beldonek odrazu trzepie, już był lepiej wpraw-  
ny, a co mu się urwie, dziad zaraz podszeptuje.

— Niczego—mówi Florek,—głos u ciebie oble-  
ci; jużes pochwyił uchem jako tako, gdzie przy-  
stoi wyciągać.

Obeszli tak chałupę za chałupą; dziad tylko  
pomrukiwał wszędzie, a chłopak sam precz  
wszystko na cały głos odmawiał, nikiem organi-  
sta na śpiewaniu stacyj. Przy ostatniój chału-  
pie prawie się nie zająknął, mógł się już dosko-  
nale wykłapać.

Skoro znowu przed wieczorem wyszli na drogę  
i mieli się ku Jaronowicom, tak dziad zdejmuje  
z siebie jedną torbę, a miał ich będzie ze czte-  
ry, i mówi:

— Kiej już sam potrafisz do ludzi przemówić,  
toś wart nosić torbę dziadowską, bierz ją na  
plecy.

Uradował się chłopiec, że niby będzie do Flor-ka cobądź podobny, i z wielkim ambitem torbę na sobie powiesił.

— Nie jednéj rzeczy jeszcze się przy mnie nauczysz — powiada znowu dziad, — ale nie tak odrazu, boby ci się w głowie zamieszało...

Przychodzą do Jaronowic, słońko jeszcze nie zaszło. Wałą przed dwór prosto, a tam po trawniku chodzą sobie duże i małe panny. Florek odrazu czapkę z głowy precz, podchodzi pokorniuszki, położył obie ręce na kosturze, przygarbił się, potém klęka i zaczyna modlitwę; chłopakowi téż dał znak, żeby i on równie przyklęknął.

Panny podchodzą, bardzo im się udał taki dzia-dek, i każda mu dała, co mogła. Musi go porządnie opatrzyły, bo jak tylko wyszli, był bardzo rozmowny i śmiał się, a to u niego bywało rzadkością.

— Widzisz — powiada, — inaczej się godzi przemawiać do każdego; są na to osobne modlitwy i pieśni; jak będzie czas, to się nauczysz wszystkiego. Takie smarkate, jak tamte, to chcą, żeby dziad prosił dla nich Pana Boga o chłopca... Usłyszą i już nie żałują grosza.

---

X.

Wyszli i idą po chłodzie.

— Musiewa na noc dociągnąć do Kosowa,—powiada Florek.

Kiedy weszli do lasa, dziad zaczyna śpiewać na cały głos, jeno się rozlegało. Chłopak w tym czasie sobie myślał, co téż takiego mogło być w téj torbie, którą mu Florek włożył na plecy; juści nie było w niéj chleba, ani nic do jedzenia, jeno jakieś twarde rzeczy, ciężary czy coś, bo chrobotało, jak kamienie. Minęli las, patrzą — nowiska przed nimi: gdzieniegdzie obsiane toto grochem, a drugie kartoflami, precz nieosobliwy urodzaj na zagonie.

Dopióro Florek się zatrzymuje, przystanął, popatrzy na okolicę i mówi do chłopaka:

— Zdejmijno ze siebie torbę, co ją masz na sobie i poszukaj w niéj motyki, będzie tam taka...

Chłopiec zdjął, rozłożył na ziemi, szuka, a tu w torbie przeróżne rupieci; patrzy — żelazny warzniczek, takóž ryneczka na trzech nogach, to znowu łyżka blaszana, podkowa stara, lonik od wozu, wędzidło, kółka jakieś. Już teraz Beldonek sobie pomiarkował, bez co ta torba była taka ciężka, że powrózek od niéj aż mu ramię odparzył. A no, znalazł tu i motykę, tyła była bez żadnego motyczyska—samo to, co żelazne. Flo-

rek bierze to do ręki i zakłada na onym kosturze, co był nań i jeża od psów wsadzał. Jak porządnie motykę oprowił, tak znowu rzecze:

— Słuchajno, ja tu siądę pod lasem, będę nabożnie śpiewał pieśń jedną taką do cudownego obrazu w Tursku, a ty mi poleć w tamte kartofle i ukop dobrze, tyle, żebyśmy oba na wieczerzę mieli. Przychyl się cały, jak będziesz kopał,— małyś, to cię zdaleka nie dojrzą... Ale daj baczenie na to, co ja będę śpiewał, i jak posłyszysz: — „Panno w Turskim obrazie, ty nas ratuj na razie,“ zaraz przywaruj w bruzdzie; bo to będzie znaczyło, że kto idzie i spatrzeć cię może...

Beldonek drze zaraz w pole, poleciał w te kartofle, zabrał się, rozkopuje krzak koło krzaka; co wykopie — wszystko małe, jak orzeszki, a dziad mu był zapowiedział, żeby nie brał takiego drobiazgu, bo to do jedzenia wodniste; tak on téż przebierał co większe i bez to szkody dużo narobił. Ale sobie jakoś zabaczył o tém śpiewaniu dziada, niby kóli ostrożności. Tak Florek drze się pod lasem: — „Panno w Turskim obrazie, ty nas ratuj na razie,“ a chłopak nic, nie schował się w bruzdę, jeno kopie żwawo, zawziął się przy téj robocie.

Niedobrze było. Ode wsi idzie chłop, nie zważał ta widać na dziadowskie śpiewanie pod lasem, tyła dopatrzył w ziemniakach onego małego psuja; wlaźł między zagony i zeszedł chłopaka

na tém kopaniu. Aż się za głowę złapał, widzący tyle krzaków w poniewierce.

— Masz ty Boga w sercu? — woła, — sobacze nasienie jedno, żeby ludziom taką krzywdę robić... Czyżżeś ty?...

Chłopak się przeląkł strasznie, ledwie co mógł rękę wyciągnąć i pokazać dziada pod lasem.

Dopiero chłop bierze małego za łeb, trzyma go krótko za włosy przy samutkiéj skórce i prowadzi do dziada. Jak tylko doszli, Florek powiada:

— Oj, żebyście mu téż dobrze zepsuli skórę, bo strasznie rozpustna beskurcya!... Cóż on ta zmalował w polu?

— No, bestyjnik jeden! — rzeknie chłop, — tać ja rychtyk myślałem, żeście wy mu kazali ukopać kartofli, a on widzę sam z dobra woli... Oj, żeby tak moje było to pólko, pokazałbym ja takiemu bisurmanowi, skąd mu nogi wyrosły!...

— Da to takiemu radę—mówi Florek,— kazałem mu nosić torbę z motyką; ani mi ta do głowy nie przyszło, żeby on psiawiara szkody ludziom narobił!... Nie bić dopiero gałgana... toć on mnie odbięzał, ile że przy zmiérzchu na oczy nic nie dowidzę o parę kroków. Staremu zawdy bieda, a ten niecnota wziął i poszedł krzywdzić ludzi!

— Ha no, przetrzecie go ta sobie już sami, żeby na drugi raz był pamiętny. Wasz on rodzony?

— Kaj ma być mój zaś? Przybłąkało się a to do mnie w boru i lezie; nie mam litości odpędzić, choć nic dobrego, bo powiada, że siérotą.

— Widzicie wy... Żebym tak chciał rękę psuć, tobym ja jemu pokazał sprawiedliwość, je-no co się ta będą turbował o młynarzowe kartofle!.. Skądżeście wy dziadku? Musi zdaleka?..

Zaczęli odrazu o czém inném rozmowę. Tak Florek wywiódł tamtego w pole. Beldonkowi aż świeczki w oczach stanęły bez to, że go ten chłop precz za łeb trzymał, choć z dziadem już o czém inném była mowa. Puścił go nareszcie, bo sobie sam usiadł nieco pod lasem. Dziad i chłop zgadali się jakoś ze sobą. Jak już trza-ić było, tak chłop znowu powiada:

— Idźcież ta, dziadku, do wsi, pytajcie kaj jest chałupa Maćka Hebdy, przenocuje was moja w stodole, czy przy bydle; ja się tu jeszcze muszę w lesie sprawić, ale około północks wrócę.

Wstał z ziemi, widać było, że ma pod sukmaną siekiérkę, a z kieszeni mu wyglądał postronek zwinięty, musi po drzewo szedł do lasu.

— Bóg wam zapłać—powiada Florek,— ostajcie tu z Panem Jezusem, kiejeście tacy dobrzy.

Chłop zaraz w bór, a oni w drogę. Dopiero dziad nakładł Beldonkowi w uszy, żeby drugi raz nie był już taki głupi, jak ma kopać cudze ziemniaki.

Dopytali się jak nic o Hebdową chałupę. Przychodzą, a ta Hebdzina zrobiła na noc już cały porządek w domu, jeno jeszcze miałaści pacierz z dziećkami zmówić. Dziad do niej odrazu z kopyta:

— Moja gosposiu, wasz mnie Maciek przysłali do was: — idźcie do Kosowa — mówi, — to was ta moja posili i przytułek da nocny, bo użyzliwa kobiéta i nie pożałuje nic biédnemu.

— A kajżeście wy jego natknęli. Pod lasem pewnie?

— Juści pod lasem, koło młynarzowych ziemniaków. Dobra dusza, pogwarzył ze mną i poszedł. Nie każdemu człowiekowi dał Pan Jezus tyle uczciwości, co waszemu...

— Chwała Bogu — powiada baba, — Maciek człowiek do rany przyłożyć, gorączka to gorączka z niego, w piérwszój złości gotów ubić, dobrze mnie nieraz trzaśnie; ale coby ta chłop wart był bez tego!

— Musi wasz gospodarz ku lasowi tak pod noc ciągną kóli jakowój korzyści? — pyta dziad.

Jeno baba teraz zamilcziała, nic już nie mówi; dopiéro się znowu po chwilce odzywa, bo ją widać język zaświerzbiał, zwyczajnie jak kobiéta.

— Czy wam to mój nie rozpowiedział — mówi, — jako wczoraj Żydy kupiły las od dwora, tak się téż każdy przy téj okazji chce pożywić... Obrady ta z tego wielkiój nie będzie, jeno nim

dozór jaki ustanowią, to jeden, drugi ciupnie siekiérką na te ciężkie czasy.

Potém podchodzi ona baba do Florka i wręcz mu gada:

— Jaki to głupi ten Maciek, mój dziadusiul jakby nie wiedział, że wam nie mam co dać na wieczerzę!... Uwarzyłam trochę żuru i kartofli, to się zjadło, a resztę wychlipało do cna prosiątka; trza je podpaść, bo pojutrze zagoni się na jarmark do Włoszczowy.

— Ja ta nie koniecznie za żurem — powiada Florek,— niby to człowiek może przebierać w drodze, idący osobiwie do cudownego obrazu na Jasną Górę... Jakbyście mieli w garczku krzynę zsiadłego mléka, nie będzie nijakiej wzgardy... A nie, to dajcie parę jajek, choćby ta i kacze były; sam sobie jak niebądź upitraszę w ryneccze.

Tak się baba namyśla, co mu tu dać? — musi żal jój było wyzbywać się tak jednego, jak drugiego. Ale ją dziad w te pędy podchwycił.

— Nie żałujcie — mówi,— bo jak już raz zajdę na cudowne miejsce, zaraz tam westchnę uczciwie na waszą intencją, to wam się przecie koniecznie dobrze opłaci.

Ona sobie zaraz zmiarkowała, że Florek sprawiedliwie mówi; ale mu już wolała dać zsiadłego mléka, bo się skarżyła, że jój kury w tym roku coś jaj nieść nie chcą.

Pożywili się należycie, podjedli oba. Dopiero dziad ociera gębę i woła na Beldonka:

— Uchycze panią gospodynią za nogi!

A sam co prędzój piękną modlitwę za dobrodziejów odmówił głośno:

— „Pobłogosław, Panie Jezu Chryste, tym ludziom na zdrowiu, na szczęściu, na wszytkiém, nagroź im we sto razy za to, co mię tu nakarmili głodnego sługę Twego!“

Tak chłopak swoim porządkiem a dziad swoim zrobili, co należało.

Więc ta Hebdzina miała już teraz okrutną wdzięczność dla Florka, i nie chciała mu pozwolić, żeby spał w stodole czy w obórce, tyła mu zraila posłanie w chałupie pod żarnami, w kącie jednym i jeszcze mu wyniosła z komory kozuch swego Maćka do przykrycia. Ale ta ciepło było i dziad nie chciał, tyła się domawiał:

— Kiej już, moja gosposiu, taka wasza łaska, to mi jacy jutro ochwiarujecie na drogę z pół sérka, bo widzę u was krowy pięknie doją, to będą jeszcze lepij... To wasze mléko okrutnie było smakowite i pewnikiem sér będzie jeszcze lepszy.

A no, tak ta baba już nic nie odpowiedziała, bo może nie chciała, żeby znowu tyle łaski robić dziadowi.

Dobrze potém, jak już przepiały piérwsze kury, przychodzi do chałupy Hebda, wszedł i zaraz pyta:

— Był tu dziadek jaki?

— Cichożże — mówi baba, — dyć śpi tam pod żarnami... Nasłałeś mi na noc człowieka i wychlapał a to garnek cały zsiadłego mléka!

Hebda nic, jeno strasznie wyrzekał, że Żydy w lesie ogromnie czujne; układał się i spał na werku.

---

## XI.

Rano pożegnał Florek tak Maćka, jak i Maćkową, a nad chałupą krzyż im jeszcze ręką zrobił; puścili się oba z Beldonkiem ku Włoszczowie. Przychodzą do Dąbia, ludzie tu jeszcze lepsi, nic nie żałują jałmużny, tylko sypią. W karczmie dali im będzie z pół miarki kartofli i sadła grubo na palec.

— Okrutny obiad dziś będzie, -- mówi dziad.

Siedli pod karczmą przy studni i chłopak obiera kozikiem te kartofle; tak sobie wtenczas przypomniał wieś swoją, bo tam nieraz kartofle takóž strugał. Podleciało go musi z żałości co dziwnego i zaczął beczć.

— Czegoż ty, głupi, dudy stroisz?—mówi Florek.

Jeszcze się chłopakowi załośniej zrobiło z tego pytania; jak rznie o ziemię kozikiem, porwał się, poleciał za karczmę i płacze, jak organek. Wypłakał się tam setnie, może go i wstyd potem było, bo wrócił, uchwycił dziada za kolano, pocałował w rękę i mówi:

— Nie złościście się na mnie, wieś mi moja zapachniała, com się nijak wstrzymać od płaczu nie mógł...

— Gniewałbym się ta na takie ciele!... Obieraj a to kartofle i koniec; podjesz na obiad, to ci zelży, wiadome rzeczy.

Ostrugali ziemniaki do bieluśka, czysto, przepłókali je jeszcze przy studni, potem dziad zalał toto wodą i poniósł do karczmy, żeby mu pozwolili uwarzyć przy ogniu; wziął garść kaszy z torby, podsypał, dodał soli, pieprzu i poleciał na wieś. Jak wrócił, przyniósł parę główek cebulki, wyłgał od jakiejś gospodyni; pokrajał tę cebulkę na plasterki i dopiero zaczął smażyć w ryneccze z sadłem; zapachniało od tego ogromnie nie tylko w karczmie, ale naokolusienko. Kiej się już uwarzyło, jedli z ogromnym smakiem, aż pies i dwa koty za wędchem do nich przyszły.

Dziad ociężał jakoś po tym obiedzie — nie był ani do rozmowy, ani do drogi; jak jeszcze popił, tak mówi do Beldonka:

— Musi przepieprzyć, czy przesoliłem te kartofle, bom teraz do niczego — piłbym tylko i sen mię przytém morzy... Wiesz ty, chłopysiu — powiada tak delikatnie, że to chłopaka za serce wzięło, — ja się tu zdrzemię; stary-m, ale tyś lekki, skocz do lasu i nazbieraj grzybów, bacz jeno, żebyś muchara nie chyził.

Więc chłopak zaraz poszedł, bo las był pod bokiem przy saméj karczynie, a dziad się wgramolił na górę po drabinie i legł tam na spanie.

Kiedy Beldonek powrócił z lasu z grzybami, Florek już się obudził ze snu, był wyspany, aż mu oczy podpuchły. Dziad siedział w karczynie, gwarzył z karczmarką, narzekał, że go coś rozebrało, zemdliło w nogach i na całym ciele.

— Dzisiaj nie pójdę dalej — mówi, — tu się gdziebądź przenocuję.

Tak chłopak widział zaraz, że dziad ma wielką ochotę na te grzyby i wziął się do ich przebierania a krajania; siedzi na ziemi i robi swoje. A tu do karczmy zaczynają się schodzić różni, zwyczajnie jak po południu — to przejezdni, to miejscowi; niejeden tylko zajrzał, wziął z komina węgielek do fajki i poszedł dalej.

Ale ta przyszedł jeden taki niby chłop, niby surdutowy, bo miał na głowie kaszkiet i kurtę jakąś z guzami na sobie; pono on rzadko kiedy z karczmy wychodził; musi był z niego wielki paliwoda, bo ludzi ciągiem na gorzałkę naciągał

i bez to go tamtejsi szynkarze oboje bardzo lubili. Zwał się Michał Zaraza; co kogo w karczmie natknął, zaraz napastował, gwarzył, a potem niechcący w różnych wmawiał, jako mu kazali wódkę stawiać. Był wykląpany, to mu się ta nikt nie sprzeciwiał, bo niejedem wolał za takiego zapłacić, niż się przekomarzać. Dopiero sobie on Zaraza upatrzył Florka i zaraz myśli:

— Ten mi dziś będzie fundował...

Ale cóż, jak poszli w rozmowę, odrazu było widać, że dziada nie weźmie na muchę; taki był mądry na wszystkie przeszpiegi ten Florek.

— Zdalekaście wy? — napoczyna Zaraza.

— Z całego świata, — mówi dziad.

— Ooo, bójcie się Boga, to i cieię na świat przychodzi w jakowémś miejscu... A wyście się nikaj nie urodzili, czy co? — Tak powiedział, myślał niby, że odrazu dziada nabierze z góry i stropi. Na to się ludzie zaraz śmiać poczęli, bo każdy był pewien, że dziad jest głupszy.

— Drugi człowiek to nie ma i tyła rozumu, co cieię... — odrzeknie Florek.

Zaraza wziął to do siebie, że mu dziad ostro przycina i przez chwilę myśli, co takiemu odpowiedzieć, żeby było cięto. Ale mu Florek nie dał czasu do namysłu, jeno go odrazu naparkł:

— Wiecie wy człeku, gdzie jest wola boża?

Tak tamten nie wiedział, co na to odpowie-

dzięc, jeno udawał niby zucha i przez śmiech rzeknie:

— Pewnikiem na pruskiej granicy!...

Ale jedni się z tego w karczmie śmieli, a drudzy nie.

Dopiero Florek w te pędy na niego.

— Tabaka a to w głowie, nie rozum u takiego człowieka, co prostój rzeczy nie wie...

Nasłuchują wszyscy, co też Florek dalej powie, bo sobie nikt nie mógł zmiarkować, kaj jest boża wola, bez to, że niektórzy myśleli, czy to nie wieś jaka, więc mogła być na pruskiej granicy takż.

— Widzicie—powiada dziad, — boża wola jest wszędzie, gdzie się cuda dzieją jakie, a wy nie zaczepiajcie, kiedyście głupi...

Zaczęli się wszyscy okrutnie śmiać, a dziewczka karczmarska od tego śmiechu omal z ławy nie spadła. Zaraza już ze wstydu nic nie mówił. Ale Florek się wcale nie śmiał, tylko znowu mówi, jak się już ustatkowali ze śmiechu:

— Bywały człowiek, to i na pruskiej granicy zna cuda boże; kupcie mi Michale wódki, to wam powiem.

Zaraza nic, rozsierzdził się i zawziął, nie chciał gadać, tyła mruknął:

— Kręt ja to jaki, czy co?

— Dam wam wódki — mówi karczmarka, — a powiedzcie dziadku o tym cudzie, bom nie słyszała nigdy.

Ha, dobrze. Florek wypił wódkę, aż ten Zaraza o mało się nie spalił ze złości, widząc, jako dziad umie naciągać, a on nie.

Teraz Florek siada i zaczyna gadać:

— Na pruskiej granicy była raz okrutna wojna, zwałił tu jeden Napolion ze swoimi; dopiero stanęli oba z Prusem tam za Częstochową, kaj są Panki na jedném miejscu, i Napolion powiada:

— Potąd twoje.—A tamten Prus rzecze:—Nie ustąpię, moje het po Wisłę do Nowego Miasta Korczyna, do Opatowca! I zaczęli się tak certywać, co czyje będzie. Tak Prus precz folgował od Wisły, ustępował temu Napolionowi i Chmielnika, i Pińczowa, Jędrzejowa i innych rzeczy, jeno koniecznie chciał mieć Częstochowę kóli tego cudownego obrazu. On Napolion był uczciwy chrześcianin, jako każdy z naszych, a Prus—poganin, wiadome rzeczy. Dopiero Napolion gada: Żebyś ty tu na głowie stanął, sobako, to ja ci Częstochowy nie oddam, boby się ludzie nie mieli kaj modlić.—No, dalój—woła Prus,—kiedys taki to się spróbujwa, kto mocniejszy, ten lepszy. Zaraz przyszło do okrutnej bijatyki. Ustawili rzędem żołnierzy i kazali im het do siebie strzelać, a oni się ta oba nie bili z sobą, jeno patrzali, co się dzieje i przykazywali celnie strzelać. Walili tak całe dwa dni, aż na okolicę ludzie uciekali, gdzie kto mógł, bo nie do wytrzymania było, osobliwie bez te harmaty. Nabili Prusowi moc

żołnierzy, leżało toto kupami, jak słoma na boisku, bo Napolion swoim ciągle dogadywał, jako o Częstochowę chodzi. Widzi Prus, że nie poradzi, tak go porwał gniew straszny i powiada: Tak nie idzie, panie Napolionie; spróbujwa się oba we dwóch. No, a Napolion był chłopina, nikiej wiechetko, a tamten drągał ogromny. Jak się wzięli wpół, tak tamten odrazu ścisnął Napoliona i podniósł do góry; byłby go rznął o ziemię, jak nic. Wtenczas Napolion już w powietrzy westchnął i woła: Ratuj, Panienko z Jasnej Góry!... A temu Prusowi zaraz grunt pod nogami tak oślizgł, że się przewalił i Napolion leży na wierzchu, a tamten pod nim na spodzie. Oddaj mi choć Kłobucko — prosi ten Prus. — Nawet ci Panków nie oddam, wynoś się precz pod Blachownię, pod Praszkę — powiada Napolion. — Wojsko całe Napolionowe w śmiech; dostali za to na miejscu po dwa półkwatki wódki, — a ja przecie o jednym kieliszeczku nie mogę zostać...

Tak znowu dali Florkowi wódki, a on całą szklaneczkę rozlał w dwa kieliszki i trącił się z Zarazą na przeprosiny.

## XII.

Kiedy tak Beldonek chodził po świecie z Flor-kiem, tymczasem we wsi jego ludzie nie rozumieli, gdzie się mogło zapodzieć takie dziecko. Choć go ta dawniej za nic mieli i każdy nim pomiatał, teraz na wszystkie strony słychać było, jak się pytali:— „Co się stać mogło z tym Beldonkiem?“ Osobliwie téż baby dopytywały się o chłopaka, bo pamiętne były jego matusi, uczciwój kobieciny, co z nią przez długie czasy przyjaźni zażywały.

Stryk Matus nie nie mówił, ale chodził jak ścięty, markotny był na swoją, że z jój przyczyny skatował chłopaczynę, bo żeby nie to, nie byłoby we wsi żadnego gadania. O mało nie pękł ze złości, jak go kto spytał:

— Coście wy zrobili z małym Beldonkiem?

Bo wiadome rzeczy, każdy się ujmuje za siórotą bez ojca i matki, jakby się krzywda takiemu dziecku od ludzi stać miała.

Aż tu pewnego dnia wpada do Matusowój ujna Beldonkowa, co była pono w dubelt krewna z matką chłopaka; Gierka jój było na imię. O, ta była baba-ziółko, z chłopemby się uporała!

— Hanka—zaraz mówi,— coście wy dziwnego zrobili z tym chłopakiem po nieboszczce? Niech was rany boskie bronią, żeby w tém było jakie

łajdactwo!... Jakbym zwąchała, że to kóli zagarnienia tój krzyny chudoby, tobyście się daleko sprawiać musieli; jabym się z moim nie oparła w Chmielniku!... Ciągałabym na sądy gorsze, na Kielce, na Chęciny...

Tak ją zaraz łagodzi Matusowa:

— Miejże ty, Gierka, dobry rozum w głowie; pomiarkuj sobie, co my przecie nie żadne pogany! Gdzieby kto dziecku krzywdę robił?... Że go ta mój przeciągnął powrozem, to co? Zwyczajnie, chciał, żeby chłopak na ludzi wyszedł: na swojego w takim razie jeszcze lepiej ręki nie żałuje, tyła że ten nasz Wojtek bardziej do chałupy przywiązały, to nie odleci, jak tamten. No, i Beldonek musi wróci, jeno patrzeć, bo coby taki robił na świecie?

Nie dużo to ta pomogło, bo Gierka i tak publikowała oboje Matusów, zarówno w karczmie, jak po wsi całej.

Matus czuł, że się naród precz od niego odsuwa, a uważanie miał ogromne, bez to, jako rok rocznie podatki z całej gminy do powiatu odnosił. Nigdy go nikt nie spatrzył na niczém takiem, żeby mógł być posądek. To go okrutnie korciły one babskie obnoszenia.

Jak sobie raz wszystko rozmyślił, tak powiada:

• — Bierz kacie!... Nie przeniosę na siebie; — żebym miał do Krakowa pojechać, to pojedę, a muszę naleźć tego chłopaka!

Nie kupić było u niego takiego zawziątka, bo chłop był strasznie honorny. Tak wpada raz do chałupy i mówi:

— Hanka, wyładuj mi na jutro obleczenie! Niewytrzymanie ludzkie! Kryminałem mi grożą te juchy, powiadają, że zgładził dziecko ze świata.— Widać zasłyszał co z onój obmowy Gierki, i już koniecznie mu w głowę wlaża jazda za tym Beldonkiem.

Zabrał się raniusko i wio; jedzie a myśli, gdzie tu szukać wiatru w polu? Przyjechał do Chmielnika, stanął na rynku, porzucił szkapom naręczko siana; rozgląda się po przejezdnych, zagaduje, ale mu się ta nawet nijako rozpytywać. Co kogo tknie, każdy jeno ramionami rusza.

Zmówił się z jednym chłopem, co od Buska jechał ku Kielcom, a znali się oba już dawniej, tak go Matus poczęstował gorzałką, a szczerze prosił:

— Moi dobrzy, upatrujcie też po swój drodze takiego chłopaka dziewięciu lat niespełna, rozpytujcie się ludzi, a jakby co było, dajcie mi wieści z powrotem. Gotowem znaleźć dać, jak za bydlę...

Tak Matus molestował ludzi jadących w różne strony; myśli sobie: „Przecie się chłopak pod

ziemię nie schował, i jak nie jeden, to drugi go znajdzie.“

Z Chmielnika pojechał do Buska; tam się ludzi dużo kąpało kóli dobrego zdrowia, a fura za furą przyjeżdżały od samego rana; było ogromne zbiegowisko narodu. Krętu wężu, chodzi Matus precz po zajazdach, i gdzie jakiego furmana spotka, zaraz się z nim wdaje w rozmowę. Tu téż nikt nic nie wiedział, a on każdego prosił, żeby po drogach dawać baczenie, bo gdziebądź mógł kto spotkać Beldonka. Zwyczajnie, tak się zawdy szuka każdéj zguby.

Tak obszedł Matus Busk cały i nie wiedział już co daléj robić, kiedy naraz spostrzega jakiegoś chłopca z furą; konie jadły, a chłop się o wóz oparł, fajkę zakurzył i patrzył przed siebie, musi popasał.

Stryk Beldonków zaraz do tego obcego podchodzi i wywiaduje się, że to jest chłop z pod Pińczowa, z Gartatowic i dzień w dzień dowozi do Buska wapno na murowanie jakiegóś oberży. Zgadali się z sobą od jednego razu. Kiedy mu Matus opowiedział wszystko od początku do końca, tak ten chłop powiada:

— Będzie rychtyk parę dni temu, widziałem na drodze chłopaka takiego, jak mówicie, jeno nie szedł sam—a z dziadem; od wsi do wsi żebrując, pewnikiem szli do Pińczowa tamtędy...

No, Matusowi zaraz się raźniej zrobiło; pora-  
czył chłopca dobrze za tę wiadomość i na całą noc  
pojechał do Pińczowa. Po drodze sobie tyła  
myślał:

— A to rak jeden! poradził sobie; przystał do  
dziada, żeby mu biedy nie było.

Nocą dowlókl się Matus do Pińczowa; ale do  
samego rana oka nie zmrużył, tak mu ten chło-  
pak świdrował w głowie. Rano wyszedł z zaja-  
zdu na miasto. Każdy z sukmany widział, że  
przyjechał człowiek zza Chmielnika, zpod Stop-  
nicy; Żydki zaraz zaczepiają: — „Piękny tam  
u was urodzaj?“ — „Może macie co do sprzeda-  
nia?“ — „Pójdźcie do mnie, gospodarzu! wszyst-  
kiego dostaniecie...“ Napierali go na każdym  
kroku; ale on się ta nie gniewał, z każdym co  
pogwarzył, bo był ogromnie ludzki. Tyła z Ży-  
dami nie mógł się o tego chłopca dogadać, bo jak  
który zobaczył, że Matus nie sprzedaje, ani ku-  
puje, zaraz odchodził i nie chciał słuchać. Do-  
piéro stryk Beldonków idzie między przekupki  
i upatruje, czy jest która chrześcianka. A no,  
były tam dwie takie, co jedna sprzedawała ku-  
kiałki, a druga—farynę, i ta druga osobliwie była  
okrutnie rezolutna baba. Kupił Matus zaraz  
u niój setną kiszkę i jeść zaczyna, a w rozmowę  
się wdaje niechęący. I nie stracił na darmo pie-  
niędzy ani czasu, bo kobiéta ogromnie dokument-  
nie rajcowała.

— Widzi mi się—powiada,—widziałam tu kiedyś z podcienia dziada siwego z chłopakiem, jak szli ku mostom rano... Trzebaby wam jeno, gospodarzu, wywiedzieć się, gdzie oni mogli nocować.

Podrapał się Matus w głowę, bo jak się tu dowiedzieć czego w takiem ludném miejscu, tak pyta onęj przekupki:

— Jaka téż będzie pani rada na mój frasunek?

— Idźcie—powiada ona,— do magistratu i pytajcie o policyanta Łapalskiego; jakby on wam nie poradził, to tu w Pińczowie drugiego niema... \*).

Pokazała mu, gdzie jest ten magistrat i Matus poszedł.

Przychodzi tam i widzi, że siedzi człowiek w wysokich butach, a kozuch ma na sobie; odrazu poznał, że taki musi do urzędu należeć, bo miał kaszkiet z czerwonym lampasem i u spodni z boku wypustkę takąż. A no, powiada mu, kto go tu przysłał i po co; trafił odrazu na Łapalskiego.

— Musi ta przekupka szczęśliwą ma rękę, kiej mi się tak darzy,—powiada sobie Matus.

---

\*) Należy wiedzieć, że w one czasy (r. 1851), magistrat miasta Pińczowa nie posiadał etatowego policyanta, ale obowiązki te spełniał tymczasowo Walenty Łapalski, mieszczanin z przedmieścia Mirów. To samo bywało w Skalbierzu, Wiślicy, Koszycach i Busku.

O, ten Łapalski był kuty, ogromnie obrotny w rozumie i języku!

— Czekajcie, gospodarzu — mówi, — jakby tu tylko w mieście było co takiego, to już moja rzecz... Zpod ziemi wykopiewa dziada i chłopa, będziecie o nich mieli wszystko jasno, jak na dłoni. Pójdźwa na miasto!...

Porwał się on policyant z ławy, leci przodem, a za nim Matus rażno dogania i mówi:

— Możeby się pan policyant czego napili?

Łapalski nie był od tego, prowadzi Beldonkowego stryka do porządnego sklepu, co tam tylko same urzędniki pijały; tak im zaraz postawili czyściutkie szkło i dali gorzałki, nie takiej prościuchy, jeno z kroplami — gorycz okrutna, aż gębę na drugą stronę wykrzywiło. Położyli im parę słodziutkich rodzyneków, żeby im się po tej goryczy wydało, że co słodkiego pili.

Wychodzą na rynek, Łapalski, co kogo spotka, zaraz z nim: „szur—szur;“ kto go ta wie, o czém szwargotał, dosyć na tém, że nareszcie powiada:

— Pójdziecie ze mną na Mirów; jak tu są jeszcze w mieście te ptaszki, zamkniewa ich zaraz w kozie... Oho, u Skubały bywają różne dziady, wiem ja, wiem! Dawnobym go ubrał, żeby nie święte miejsce jego przy klasztorze.

Przyszli do Skubały. Tak ten policyant chciał Matusowi pokazać moc swoją i odrazu na dziada z góry:

— Śpiewaj mi prawdę — mówi, — był tu siwy dziad z chłopcem, czy nie? Jak nie powiesz, wezmę zaraz do kancelaryi do protokołu!...

Ale Skubała się na to jeno roześmiał i powiada:

— Oj, Łapalski, Łapalski! Nie głupi z ciebie faja? Mnie myślisz magistratem straszyć... Ja i do powiatu znam drogę, a nikogo nie straszę. Od tego przecie noszę na sobie szkaplérz, żebym się takich nie bał...

Więc policyant zmiękł zaraz, nie straszy dłużej dziada, jeno go głaska ręką po plecach i mówi:

— Nie sierdź się stary!... Co tam, tak sobie gadałem! Dobry oto człowiek potrzebuje, żeby mu w biédzie poradzić.

— Ja tu nie myślę nic gadać—rzeknie Skubała.— Postawcie co, boby mi język usechł: naturę mam taką już od urodzenia.

— Tak było odrazu i mówić!—powiada Łapalski.—I ja nie od tego, bratku. A jakże, wypijemy, ten gospodarz gotów zapłacić.

Pociągnęli do szynku naprzeciwno, powlókł się téż za nimi Onufer. Dopiero tu pili do późnego wieczora. Onufer był łapczywy do picia, choć przez cały czas gęby nawet nie otworzył. Nareszcie przypomniał sobie Matus, że się z jego końmi mogło stać co złego w zajeździe, bo od rana do nich nie zajrzał; chciał, żeby ten Skuba-

ła prędzęj mu co o Beldonku powiedział. Popili się okrutnie, tylko Matus stał prosto na nogach, a ten Onufer spadł z ławy i na ziemi się poniewierał, jak trup jaki. Potém Łapalski bierze chłopca na bok, całuje się z nim w gębę i serdecznie prosi:

— Tyś dobry brat, pożycz kilka złotych!... Jak Boga kocham, oddam na święty Michał.

Nijako się było wymówić Matusowi, więc wziął i pożyczył trzy złotki, jeno rozumiał, że to idzie na wieczne nieoddanie. Tak się znowu potém dopraszał pożyczki i Skubała, a nijak nie chciał brać dwóch złotych, jeno trzy takóż.

Widzi chłop, że oni go tu z piędzdy obiorą, a rady żadnej nie dają, tak zaczął kłąć okrutnie, bo téż pałę zalał. Wtenczas dopiéro Skubała opowiedział, jako dziad Florek Myszka nocował u niego z Beldonkiem i na drugi dzień poszedł ku Częstochowie przez Jędrzejów, Włoszczowę, Koniecpól.

— A toć ja tego Florka znam! — mówi Matus. — Pochodzi z naszych stron, z Januszowic... Różnie o tym człowieku mówią; musi niekoniecznie on samém nabożeństwem żyje; pono bogactwo wielkie ma gdzieś zakopane...

XIII.

Skoro Florek wyszedł już był z Kosowa, tak jakoś około samego południa bawiły się tam we wsi pod płotem dzieci Maćka Hebdy i dzieci młynarza Szymka Kruszczyka.

-- Wiész ty co?— powiada Nastka Hebdzianka do Franki Kruszczykówny, — u nas dziś w chałupie nocował dziaduś jeden, co szedł z małym chłopakiem do Częstochowy... Tatusź opowiadał matusi, że jak ten chłopak wpadł w wasze kartofle pod lasem, to je do cna skopał..

Franka zaraz z językiem poszła do matusi. Młynarka nie uwierzyła, jeno sama pobiegła pod las na pole zobaczyć, czy prawda. O mało się nie spłakała, jak zobaczyła spustoszenie. Wygnała swego do Hebdy, żeby się co dowiedział o tym dziadu z chłopakiem. Poszedł i dowiedział się; Hebda rozgadał wszystko, bo myślał, że dziad jest już Bóg wie kaj od tego czasu, więc nic być nie może z młynarzowej złości. Ale Kruszczyk był zły strasznie.

— Nie daruję— mówi,— pojedę zaraz za nimi, dogonię i sfantuję psianogę starego dziada, albo mi téż musi za szkodę w dubelt zapłacić.

Wnet potém zaprzągł do wozu parkę śwarynych koni, puścił im lejce i pojechał wartko. Przyjeżdża do Dąbia, dowiaduje się we wsi, że tu jest w karczynie ten sam dziad, którego szuka. Pędzi do karczmy, konie parskają. Przypadł tam

w sam raz wtenczas, kiedy się to Zaraza ściał z Florkiem, a potém Florek opowiadał znowu o cudzie na pruskiej granicy.

Co tylko się dziad napił wódki, a tu rychtyk wchodzi Kruszczyk.

Sama jeno karczmarka wiedziała, że to przybył młynarz z Kosowa, tak go pozdrowiła, a on nic, kiwnął tyła głową i wyglądał na to, że jest zły, jak dyabeł. Odrazu podchodzi do Florka i pyta w te słowa:

— Wyście ten dziad, co idzie do Częstochowy?

— No tak, albo co? — powiada Florek.

— Wyście nocowali w Kosowie u Maćka Hebdy?

— Juści ja, ale co z tego?...

— To — rzeknie młynarz, — że takie łajdaki nie powinnyby się na świętém miejscu pokazywać, boście wy mi skopali kartofle na nowisku pod lasem...

— Człowieku, miejże upamiętanie! — woła Florek. — O jakichże wy to kartoflach znowu mówicie?...

— O swoich własnych, — a nie kóli upamiętania tyli sztuk drogi za wami gonię, jeno wam muszę dać uczciwą naukę!...

Tyle powiedział i zaraz chwycił on młynarz za torbę dziada; oberwał mu ją, a potém cap za drugą i takoz zerwał. Trzyma te torby w ręce a klnie tak, aż się karczma trzęsie; Florkowi ani razu nie daje przyjść do głosu.

Zaraza rad był teraz, że dziada tarmoszą, bo choć się z nim niby to pogodził, ale zawdy miał jeszcze urazę, dobrze pamiętał onę krzywdę, jako go dziad przegadał.

Już się Kruszczyk należycie wywrzeszczał, wysapał, precz trzyma w garści te obie torby i zaczyna teraz opowiadać karczmarce, jako mu urodzaj zepsuli w kartoflach. No, bo juści po to orał i sadił, żeby zbierał. Każdy tam w karczynie myślał, że młynarz ma słusznie.

Ale dziad, jakby nigdy nic, podchodzi téż do karczmarki i powiada:

— Może tu jest w domu jaki święty obraz?...

Wszyscy słuchają, na co to jemu obrazu? — a karczmarka mówi:

— Mam w swojej izbie nad łóżkiem obrazy święte, a jakże,—jeno na cóż wam one?...

— Chcę koniecznie przysięgać na jakie świętości, a nie, to się pomodlić, bo jak mię święci pańscy nie poratują jeszcze, cóż zrobić z ludźmi takimi, jak ten oto?... — pokazał palcem na Kruszczyka. Pomodlę się, żeby go Pan Bóg wzruszył; niech pozna moję krzywdę!

— Krzywda nie wasza, jaka tam krzywda!... Krzywda moja! Te torby mi nie zapłacą za szkodę...— woła młynarz.

— Krzywda moja!—krzyknął Florek.— Przed trybunałem Najwyższego z nią stanę i pozwę was, żebyście słyszeli, co będę mówił, kiedy mię teraz słyszyć nie chcecie!...

Odrazu ten młynarz ochłódl na taką przemowę i powiada:

— Cóż mi teraz przyjdzie ze słuchania, kiedyście w kartoflach narobili psoty?...

— Nie ja narobiłem!... — woła Florek.

— To któż? Macie wy sumienie wypierać się w żywe oczy i jeszcze imienia boskiego nadaremnie zażywać?

— Widzicie go!...—mówi dziad i palcem pokazuje na Beldonka. Nic po tém chłopaczysko, on kopał bez mojej woli! Możecie mu spisać skórę, jak chcecie; ale się nie rzucajcie na starego, bo was czeka sąd ostateczny!... Grzech śmiertelny, pożałuję się na Jasnej Górze za tę krzywdę!... Torby mi oddajcie!

— Dobrze mówił... Prawda święta! On nie krzyw, kiej chłopak skopał ziemniaki! — wołali różni w karczmie. — Nie napastujcie biédnego dziadka!

Dopióro tknęło to młynarza, położył te torby na ławie, jeno się zjadliwie przyjrzał chłopakowi; zaraz było widać, że chce zbić małego. Bierze i wychodzi z karczmy, uciął sobie śmigłą witkę, może na palec grubą, wraca do izby okrutnie rozżarty, aż mu oczy zbiełały.

Beldonek nic nie wiedział, że o niego chodzi; słyszał ta w karczmie hałas, pomstowanie, ale myślał: — „Zwyczajne rzeczy w karczmie!“ Krajał i przebiérał grzyby na wieszak. „Flor-

kowiby téż ta kto poradził — powiedział sobie, — zabrali mu torby i oddali!“

A tu idzie do niego młynarz, bierze go w rękę jak kota, niesie i kładzie na ławie kóli tego, co by mu łatwiéj zepsuć skórę na pokładankę. Byłby strasznie skatował chłopaka on Kruszczyk; jeno ledwie go sobie rozciągnął na ławie i już się strasznie zamierzył, żeby chlasnąć, kiedy się dziwna rzecz stała.

Naraz wchodzi we drzwi Matus, stryk Beldonków, patrzy, co się dzieje, i widzi, że Beldonek aż cały zsiniał ze strachu; tak już nie pyta na nic, jeno odrazu młynarza za gardło i ręk o ziemię. Gruchnął go tak z całej siły, aż chłopu łeb odskoczył od ziemi. Chce się zerwać młynarz, bo padł nieszczęśliwie, a Matus go przysiada kolaniem na piersi i dopięro wrzeszczy:

— A ty zbóju świętokrzyżki, będziesz się znęcał nad dziećmi cudzemi, nad siérotami!... A wara!

I tak trzymał precz młynarza pod sobą, ten się wił bez ratunku, wszyscy zaś w karczmie głowy potracili; nikt nie wiedział, gdzie jaka sprawiedliwość, a do tego wylękli się ogromnie.

Kiedy się to dzieje, Florek porwał z ławy swoje torby i cichutko wynieść się chciał z karczmy, iść w las, musi złęgo coś poczuł dla siebie.

Matus dopięro, jak dobrze nagniół Kruszczyka, puścił go, sam się ogląda po karczmie i pyta:

— Gdzie ten łajdak Florek, co dzieci ze wsi kradnie?...

Nikt nic nie mówi, bo nie wiedzą, co powie-  
dzieć.

---

XIV.

Florek miał się ku drzwiom karczmy, a tu go jak raz spostrzega Matus, zachodzi mu od przodu, kładzie rękę na ramieniu i woła:

— Hola, bratku!... Pogadajmy teraz z sobą! Dziadeś to ty, czy Cygan, psie mięso takie, co się po wsi wałęsa i cudze dzieci kradnie? Jakąż ty masz wolność do tego?...

Dziad się zatrzymał, ale, jakby nigdy nic, patrzy Matusowi prosto w oczy i powiada:

— Człeku, człeku, co ci się téż we łbie dwoi!... Gdzie, kto komu jakie dzieci znowu kradnie?... Czego mnie ty napastujesz? Czy to ja komu w drogę wchodzę?...

— Ehe, mądryś ty, i ja nie głupi!— mówi Matus.—Znamy my się, na nic takie udawanie! Sianiem mi się nie wykręcisz... Skądże ten mój Beldonek wziął się tu z wami i lézie nieprzymierzający jak cieleń za krowim ogonem?

Dziad w śmiech na cały głos, kiwa głową, okiem mruga, pokazując ludziom Beldonkowego stryka.

— Widzicie go?—woła.—Zaczepki szuka wyraźnie... Ho, ho, nie tędy go wiedli! Cóż wy

sobie myślicie, że jakeście z Balic przyjechali na cudzą ziemię, to wam z każdym tak pójdzie, jak z kosowskim młynarzem?... No, no, i ja was znam!... Nie ze mną na udry!... Wzięliście tego chłopaka, Beldonka, na opiekę po śmierci rodzoniuteńkiej siostry — prawda?...

— Wziąłem, to i cóż będzie z tego? — rzeknie Matus.

— To, że o świnię więcej dbacie niż o dziecko; nie czynicie, jak Pan Jezus przykazał!... Możecie nie skatowali chłopaka i nie wygnali go z chałupy — he?... No, a ja przygarnąłem siórotę, żeby z głodu nie uświerkł gdzie na drodze... Niech gada, czym mu żałował chleba, choć go sam u narodu muszę wypraszać!... Możem źle zrobił?... Nieboszczka jego matka z tamtego świata mnie błogosławi...

Matus stracił na minie, gęba mu się przedłużyła, aż zbladł od tego gadania dziada.

— Wam się w to wtrącać nie wolno — rzeknie, — czym ja chłopaka skatowałem, czy nie skatowałem, bo jakem jego stryk rodzony, to muszę dbać, żeby na ludzi wyszedł!... Dwóch, ani dziesięciu z niego nie będzie...

A dziad coprędzój bieży do Beldonka, ściąga mu z pleców koszulę i po pas gołego chłopca pokazał ludziom w karczmie. Każdy widział, że Beldonek miał na plecach tęgie basy i siniaki od strykowego powroza; tak się wszyscy porwali za

głowy, jako ich żalność ogarnęła, że Matus srodze spisał skórę onemu niebodze siérocie.

— O rany boskie!—wołają,—piękna taka opieka! toć matka w grobie się wzruszy i przed Bogiem uzali!... To zbój, nie człowiek, stryk taki!

Najgorzój to już dogadywała karczmarka i jej dziewczka; zaczęły nawet te baby tak sapać, jakby chciały beczć nad chłopakiem niby z wielkiej litości.

Widzi Matus, że oni wszyscy na niego, ci co tam w karczmie byli, a jeszcze przychodzili coraz nowi. Pomiarkował się odrazu, okrutnie był markotny, bo mu ani w głowie postało, żeby od tego powroza chłopak mógł jeszcze mieć takie znaki po całych plecach.

Kruszczyka aż ręka zaświérzbiała, bo się chciał zemścić na Matusie, a do tego mu jeszcze Zaza coś poddawał. Jenó ten Kruszczyk, skoro już raz był w garści, to sobie widać pomyślał, że z takim chłopem lepiej nie zaczynać, i nie rwał się ta bardzo do Matusa, choć nawet ze dwa razy w rękę plunął, niby że się odgraża.

Ten to, drugi owo — precz dogadywali Beldonkowemu strykowi, a on prawie języka zapomniał w gębie, i jak co powiedział, to nie było do niczego podobne. Spostrzega Florek, że jego wygrana, tak się już przestał sierzcić, jenó podchodzi do Matusa, palcem kiwa, a dokumentuje ogromnie:

— Chłopaka mi tego nie śmiejcie teraz odbierać; ochfiarowałem go Matce Boskiej Częstochowskię, jako sierotę bez matki, bez ojca... Takie ochfiarowanie na niczém się skończyć nie może, boby się potém na dziecku skrupiło. Wiécie wy czém to pachnie?...

— Skapiałby chudziaczek! — powiada karczmarzka dziewczka; podeszła do Beldonka, daje mu skórkę z chleba, pogłaskała go po głowie i znowu mówi:—Jédźże, jédź, moješ ty małe, pisklaczku!...

— A juści, juści!... skapiałby pewnikiem, — wołają ludzie. — Powinien iść do Częstochowy, niech idzie, kiej go dziaduś ochfiarowali!

Nie wiedział Matus, co robić, jak tu poradzić, skoro wszyscy byli po stronie chłopaka. Chciałby go zabrać do chałupy, a tu się dziad upiera, no i ludzie dogadują; tak już do krzty stracił odwagę, patrzy na chłopaka, a pyta:

— Cóż ty na to Beldonek?... — wróciłbyś ze strykiem do chałupy — he?...

Dopiero wszyscy spoglądają na chłopca i mówią:

— Głupiby był, żeby wracał!...

Tak Beldonek nie mógł ani słoweczka przemówić; uważał sobie niby, jako u wszystkich jest ogromny zawziętek; coby nie powiedział, zawdy źle, boby mógł rozzłościć albo stryka, albo Floraka i ludzi w karczmie; spuścił tyła oczy w ziemię i trzymał się cicho, żeby go co złego nie

spotkało, jak przemówi. A dziad się zaraz porywa, woła:

— Widzicie, Matusie, myśleliście, że on z wami pójdzie; ale czy jemu nie lepiej święte miejsce zobaczyć?...

— Takie toto maluśkie — mówią baby, — a rozum ma w głowie, jak przynależy... Pan Bóg mu już tak daje, żeby na co godnego wyszedł...

— Ha, kiej na to przyszło, musi taka wola boża!... — powiada Matus, — ja ta nie od tego, żeby chłopak zażył uczciwego nabożeństwa; niech się chowa kóli pobożności! Iść do Częstochowy nikomu nie zawadzi; jeno pamiętajcie mi dziecko potem do Balic odstawić, boby mnie gromada w łyżce wody utopiła, jakby się chłopak kaj zawieruszył...

— Jak zgoda, to zgoda, aż miło! — rzeknie Florek, — dajcież gospodarzu na zgodę rękę! Toć ja ciągiem myślałem, co taki jak wy uczciwy człowiek, na okolicę znany, rozumie każdy porządek.

Wyciągnął dziad prawą rękę, wyciągnął także i Matus, dopiero się tak oba trzasnęli setnie, aż w karczmie huknęło, jakby kto strzelił. Zgoda była ogromna, każdy z tego kontent był zupełnie.

Dziad sobie uważał, że można teraz użyć Matusa, więc powiada zaraz:

— Postawcież gorzałki, wypijewa za wasze zdrowie i tego dziecka, żeby wam się dobrze działo! Pokażcie, jako uczciwa jest wasza opie-

ka nad siérotą... Wyście tu człowiek zagraniczny między obcymi.

Stryk Beldonków podszedł w te pędy do karczmarki i mówi:

— Daj pani kwartę téj téższéj, co półkwaterek więcéj niż na czeski...

Tak się zaraz przysunął do szynkwasu i Zaza, a Florek znowu mrugnął na Kruszczyka, żeby i on podszedł bliżéj, bo będą takóž na zgodę pili, coby załagodzić tamtę turbacyą; niby że Matus z piérwszego momentu zeprowadził młynarza, ale ta już czas było zapomniéć. Kruszczyk idzie nie idzie, tak się coś ociągał, jeno Florek odrazu oręduje kóli zgody i popycha młynarza do Matusa; tak się ci obaj chłopci nareszcie zcapili z sobą i het sobie dawali gęby, że już złość w nich przeminęła niby. Wypili po parę razy, a coraz to rażniéj gwarzyli o różnościach; prędko ta kwarta wsiąknęła — nie wielkie rzeczy.

— Młynarzu — krzyczy Florek, — na was kóléj!... Kiej Pan Jezus zdarzył dzisiaj takie kochanie, toć wy pod kpem nie będziecie; postawcie i wy kwartę na odsiébkę!... Niech ta już nie będzie pamiętania o téj bijatyce, jacy więcéj profitu niż szkody komu...

Kruszczyk patrzy tylko na jedno oko, bo mu drugie całkiem zapuchło, tak go Matus grzmotnął był o ziemię i chłop upadł strasznie nieszczęśliwie. Ale co mu tam było! kazał postawić i on

kwartę, dopilnował pełności, choć jedném okiem, i znowu przepijali do siebie.

Przy téj drugiej kwarcie już im łby pozawracało, tak téż huczeli w karczmie niby pszczoły w roju. Skoro nieźle napili, dopiero dziad bierze na bok Matusa i tłumaczy mu, że on na owego Beldonka wydaje precz wszystko, co po drodze użebduje; no, a przecie to nie idzie, żeby gospodarskie dziecko miało żyć na samój jeno dziadowskiej łasce.

— Ja mu ta nie żałuję — powiada Florek, — niech jé na zdrowie, niech rośnie; tylko wam, gospodarzu, nijak nie przystoi — mówię wam szczerze, — żebyście siérotce wikt skąpili...

Jak się już raz zabrał dziad do Matusa, jak go zaczął napiérać, molestować, tak sobie chłop żadnej rady z nim dać nie mógł; nie dużo ta miał piéniędzy przy sobie, pewnie nie więcej talarka; ale oddał Florkowi wszystko, zostawił w kieszeni jacy półczwarta czeskiego, żeby było o czém wrócić do chałupy. Zabawili się w téj karczmie uczciwie, a wszyscy bardzo polubili dziada.

Już dobrze w nocy było, kiedy Matus i Kruszczyk wsiedli każdy na swoją furę; jechali jeden za drugim ku Kosowu, a gwarzyli na cały głos z sobą o tém, jak się co dzieje koło Chmielnika, a jaki znowu zwyczaj koło Włoszczowy. Żalu do siebie nie mieli żadnego bez to, że się wszystko załagodziło przy półkwaterku.

## XV.

Dziad i Beldonek siedzieli jeszcze dzień cały w Dąbiu, bo ludzie tam byli okrutnie dobrzy, i jak się wszystkie różności o Florku rozniosły po wsi, to dziad już nie potrzebował obchodzić chałup — precz mu znosiły baby, co która mogła. Wylądowali sakwy ogromnie. A ten Michał Zaraza miał teraz dla Florka taką przyjaźń i przywiązałość, że jak odchodzili, wyprowadził ich het za wieś, za drugą figurę. Kiedy się już trza było pożegnać, Zaraza mówi:

— Strasznieby mi lubował żywot taki chodzący, poszedłbym z wami, gdziebyście chcieli; jacy nie mię do wsi nie wiąże, jeno to jedno karcz-misko, a już i ono obmierzło...

Bo był bez żadnej roboty ów-ten Zaraza, całkiem żył na wolności, i choć najtwardsze były żniwa, jego nie uświadczy ani z sierpem, ani przy zwózce, czy kajbądź. Chłop się rozlenił na nie, to nie dziwota żadna, że mu dziadowski chleb pachniał; ale Florek nie miał do Zarazy przekonania i wręcz mu powiedział:

— Gdzie tobie żyć na proszalnym chlebie!... Z t<sup>ę</sup>m zdrowiem i z t<sup>ą</sup> młodością, nie mający żadnego kalectwa, na pośmiewisko ludzkie chyba włóczyłbyś się po świecie, a nie kóli pożytkowi

Beldonek.

7

jakowemu. Toć z ciebie chłop nikiem koń, siłę musi masz okrutną, jenoś zleżały taki..

Dopiero się pożegnali pod drugą figurą i oni poszli swoją drogą, a on wrócił do Dąbia.

Idą na Włoszczowę, na Lelów, a dziadowi ciągle się wiedzie doskonale, goli pieniądze i torby omal mu nie potrzaskały od pełności; takie już były wypchane jak krowy, kiej się je dobrze nakarmi do doju.

Beldonek się poduczył w drodze śpiewania pieśni i śliczne różne modlitwy umiał już zmówić, szło mu to teraz gładko. Ha no, nie spieszyl się ta osobliwie, bo Florek powiadał, że mają dużo jeszcze czasu; wysiadawali ciągiem po wsiach, a kosztu żadnego nie było, bo wszystkiego u ludzi dostali. Lud w tamtych stronach nabozny i okrutnie miłosierny do jałmużny, choć ziemia urodzajem nie grzeszy i często gęsto skowronka dojrzy w stojącym życie, a jak porzną, to garści od garści, Boże się pozał... dobry chłop nie przeskoczy.

Za Włoszczową pod Koniecpolem rzekę piękną przechodzili, to się tam dziad czyściutko wymył i chłopakowi dał pozwolenie, żeby się coniebać pokąpał, popluskał na ogromnym przyparku.

— Idź—mówi,— wyszoruj się piaskiem, obmyj ciało, bo piękniejszej wody już do samój Częstochowy nie będzie, a trza nam się będzie pokazać.

To się pociapał Beldonek w onój rzece nietyle dla czystości, ile że takie małe zawdy rade w wodzie, jak kaczka.

Zbarłżyli w tój podróży kupę czasu, a wszystko z takiěj przyczyny, że na przypołudnia i przec do odwieczera okrutnie grzało, — żar z nieba żywcem kapał, jakby człowieka spalić chciało; więc Florek mówił:

— Czy to Pan Jezus chce odemnie starego, żebym się na takim skwarze prażył i kurz łykał? Lepiej gdzieniebądź w cieniu Boga chwalić.

No, to po chłodzie tyła wędrowali, a zresztą kóli wygody przesiadywali gdzie — w chałupie, czy karczmie, albo li tóż i w lesie.

Jak sobie tak raz spoczeli w boru, dziad powiada do Beldonka:

— Siedz-no mi tu z brzeza, poczekaj, zostawiam ci torby, a ja tam pójdę w krzaki...

Zebrał się i poszedł w gęstwinię; ale nie wracał coś długo, nie było go widać, a chłopak się strachał, sam nie wiedział czego; patrzył tylko naokolusieńko, czy się co gdzie nie pokaże. Przygląda się, a tu zdaleka bieży pies, wali prosto wedle samėj drogi rowem, wywiesił język, zadarł ogon, idzie, zaraz widać, że się niczego nie boi, że ma ogromną śmiałość w lesie. Spore było to zwierzę; tak Beldonkowi przyszło do głowy, czy aby nie jaki zły pies, bo wiadomo jako psy wściekle uciekają ze wsi, stronią od chałupy, a kiedy

gdzie na osobności zdybiał dziecko albo i starego, to straszne rzeczy... Chłopak już nie mógł dotrzymać siedzący przy tych dziadowskich torbach, jeno kiedy widzi, że pies ani pyta tylko sunie na niego, tak się porwał i buch w krzaki. Nie wie co robić, bo krzyżeć też nie dobrze; bał się znowu i Florka, jako miał przykazanie siedzieć ciągiem przy torbach, pilnować, a odbiegł. Tak dygotał jeno z bojaźni i między krzakami się przesuwiał w utrapieniu. Spogląda naraz przed siebie i widzi, że jego dziad rozłożył torbę papierowych pieniędzy, poukładał toto precz porządkiem naokoło po trawie, na kolanach i musi coś kalkulował w głowie. Beldonek zmiarkował, że nie idzie tak podpatrywać Florka, bo pewnikiem dziad nie chciał nikomu pokazać onych pieniędzy, skoro odszedł na osobność; mógłby się rozsierdzić na dziecko. Więc się chłopaczyna aż przeląkł takiego widoku i pocichutku odszedł z małe stajanko na bok; dopiero teraz zaczyna się drzeć w niebogłosy:

— Pies wściekły, pies...

Dziad się odrazu porwał na równe nogi, zgarwał te papiéry, włożył je w zanadrze, gdzie nosił takóž szkaplérz, i leci na ten krzyk; wnet spotkał Beldonka i ze złością powiada:

— Widzę, żeś ty, psia wełno, torby moje zostawił na drodze!..

Chłopak się trzęsie od strachu, aż zębami kłapie i pokazuje palcem w tamtą stronę, gdzie widział one psisko. Zaraz idą oba ku torbom, — straszne rzeczy! Pies się rozwalil na jednej torbie, powyciągał, porozwłóczył z niej wszystko, trzyma w przednich łapach będzie z pół bochenka chleba i gryzie to z wielkiem zawzięciem. Narobił dużo szkody. Florek się ta wcale psa nie bał, jeno złość go porwała okrutna: jak nie skoczy, jak grzotnie kijem szkodnika, to pies wszystko wypuścił z gęby, tak mu się na skowyt zebrało, uciekał, a precz po drodze wrzeszczał z żalości i bólu. Teraz na Beldonka przyszło, chwycił go dziad za kark, rznął o ziemię, a potém wsypał będzie z dobre dziesięć kijów.

— Nicponiu jeden—mówi,— Boga w sercu nie masz, żebyś ty krwawą moją pracę dawał psom zjadać!... Tak mi to odpłacasz za opiekę, za wszystko, co ci daję? Dardański ośle! świnię ci pasać, nie z uczciwym człowiekiem po świętych miejscach chodzić!...

Chłopak myślał, co sprawiedliwe było to bicie i pomstowanie, bo pies nie miał w sobie żadnej wściekłości; zwyczajnie musiał być tyła głodny i koniec. Ale się i tak spłakało dziecko; jeno mu Florek zakazał na głos płakać, to nie beczał całkiem, tyła się łzawił.

Choć był duży przyparek, poszli teraz już dalej, minęli las, dostali się na piachy; żadnej dro-

gi nie znać prawie, tylko naokoło pełno krza jałowcowego i choiny niskiej, co z tego mało cienia dla idącego, jeno trzebaby się położyć, jakby miała być jakowa obrada. Florek się dobrze zapocił i chłopiec takż ledwie nogi czuł pod sobą; ale jeden do drugiego słówka nie pisnął, wlekli się jak smoła. Kiedy się dobrze zapuścili w one choinki, spojrzą, a tu na ziemi leży pełno ludzi; było ich jak nabił — wszystko aż czarne od spieku i kurzu.

Dziad do nich zaraz z bożém słowem, a oni mu leżący odpowiadali: — „Na wieki wieków.“ Dziwność była, bo między tymi ludźmi nie było żadnego chłopca, jacy baby same i chłopaków trochę, nie to żeby parobków należytych, jeno młodzianków takich cienkich, jak chabiny. Niektóre się wyciągnęło i spało, mający głowę pod choiną, a inni siedzieli tylko z tobołkami na podółku. Florek zagadał do jednéj staréj baby:

— Z kompanią widzę idziecie, matko?

— Juści z kompanią—odpowiada ta kobiéta,— tyła nie mamy takiego, coby nas prowadził.

— A z jakichże stron idziecie?

— Pono zpod Chęcina, a nie to zpod Kielc, bo ta nasza wieś na połowie drogi, i jedni powiadają, że do Chęcina bliżej, a drudzy — że do Kielc.

— Nie z Dymina będzie albo z Bielczy?... Tobymogło być takż zpod Morawicy, choć ta Morawica nie miasto, jeno co karczma porządna kóli

popasu i śwarna kapliczka taka na górze,— rzeknie Florek.

— O mój Jezusieчку!.. To wy musi swojak, kiedyście na takiój Ukrainie wszystkiego pamiętni, jak gdzie stoi?..

— Swojak nie swojak, jeno kiej człowiek jest światowy, to zawdy wie, co powiedzieć... I bez przewodnika takeście się wybrali na Jasną Górę?..

— Bogać bez przewodnika; mieliśmy a to starego chłopca, co nas obrządzał het, jak się patrzy, jeno zaniemógł i padł na drodze, pomarł niebogi...

— Cóż mu się takiego stało?.. Pewnikiem śmierć nagła?

— Święci pańscy raczą wiedzieć... Starowina był; pono pięćdziesiąt i dziewięć razy chadzał z kompanią, chciał koniecznie, żeby w tym roku do kopy dociągnąć i nie mógł.. Zdrożył się, czy co takiego.

— To wam nijako będzie wchodzić na Jasną Górę bez człowieka... Choćby nawet do takich Zielenic, a już nie uchodzi, żeby kompania szła bez przewodnika, nie dopiéro do Częstochowy,— mówi Florek.

— Dyć wszyscy wiewa takie rzeczy, jeno co począć, jak tamten nie żyje?

Po próżnicy a to jedno się wlecze z bębniem, drugie z krzyżem; bo jak kto niema przemówić, to i rażność nijaka w nabożeństwie.

— Jabył was może i poprowadził, żebyście mię tylko chcieli słuchać...

— Czemu nie?— powiada baba.— Tać tu same kobiety i młódz tyła, wszystko powolne, z posłuszeństwem, rządzić tēm mniej jeszcze ciężaru niż cielećtami.

— Posłuchanie być musi u narodu—mówi Florek, — jako wiadomo, że idący do Częstochowy, choć i z przewodnikiem, rwą nieraz na święte miejsce nikiem bydło z pola do obory... Cóż za nabożeństwo być może u takiego latawca?...

— A bo widzicie, mój dziaduniu, ludziskom się spieszy; pozostawiało toto robotę precz w polu, a tu znowu trza zajrzeć do Jasnogórskiej Panienki w takie najgorętsze żniwa... Nie dziwota, że jeden bez drugiego leci — każdemu pilno.

Zaraz ta baba zmówiła się jeszcze z drugą, trzecią babą; dopiéro rada w radę koniecznie, żeby mieć przewodnika, a ten Florek im się okrutnie spodobał bez to, że miał bielušką brodę, jak święty Józefek. Tak dziad miał teraz całą tę kompanię prowadzić, a ci ludzie złożyli się, coby takiego przewodnictwa nie było za darmo.

---

## XVI.

Prowadził teraz Florek tę kompanię. Żeby było więć parady, tak sobie na wierzch wyło-

żył szkaplerze i duży mental z mosiądzu, co pono był święcony i pocierany na Jasnój Górze o obraz. Jak tylko dochodzili do jakiej figury albo kapliczki, dziad zaraz pieśń jaką zaczyna, no, a jeśli figura była duża, piękna, to wszyscy klękali i zmówili za Florkiem litanią; bo dziad wszystko rozumiał należycie. Kiedy znowu podchodzili do wsi kościelnej, dziad kazał walić mocno w bęben, a potem z hukiem onym i ze śpiewaniem do wsi wchodzili; nabożeństwo im całe prowadził jak ksiądz jaki. W takiej wsi to się zatrzymywali, a dziad kazał sobie ławę wynieść z chałupy, stawał an niej i mówił porządne kazanie. A jakże, wrzeszczał tak okrutnie, że się niejeden spłakał od tego krzyku; osobliwie, że Florek w ów-tych kazaniach precz nastawał na taki naród, co to we wsi się zasiedzi, napija tyła, a do cudownego miejsca się nie ruszy i biednego ani w domu, ani nigdzie nie opatrzy. Strasznie się ludzie wzruszali z téj mowy, bo dobrze mówił.

Do bębna było teraz dwóch chłopaków nie jeden, jak przedtém; obadwa ci bębniarze młócili pałkami tak z całej siły, że nieraz o mało skóra nie potrzaskała na bębnie. Gdzie się jeno pokazali, pełno było podziwu z tego wszystkiego. Choć się tam bardzo nie spieszyli, kompania szła z ogromnym porządkiem; tak téż starsze baby z kompanii mówiły, że się lepiej idzie niż pod tamtym nieboszczykiem, co ich był wprzód prowadził.

Byli już dobry kęs drogi za Koniecpolem; przychodzą do jednéj dużej wsi, a tu ludzie, jak tylko posłyszeli bębnienie i śpiewanie, tak gromadą dużą wyszli naprzeciwko; byli to sami tylko chłopci, a jeden z nich, sołtys pono, odzywa się do téj kompanii:

— Dobrze my wiemy, gdzie idziecie, moi ludzie, ale wam nie należy do naszêj wsi wchodzić, bo powiadają, że w tych kompaniach pomorki się teraz trafiają. Nie dziwota temu żadna, bo jak drugi z ladajakiego miejsca wyjdzie, to po świecie rozniesie równie powietrze, jak utrapienie... Ostańcie, ludzie, z Bogiem, i idźcie dalej, albo jak na upór, to nocujcie sobie gdzie za wsią, w szczérém polu!...

Florek im tłumaczy, jako złego nic być nie może, kiedy naród do Częstochowy idzie; możeby ta był sołtysa i przekonał, jeno jedna baba z kompanii wygadała się przed chłopami, że przewodnik dawniejszy w drodze umarł nagle, tak się chłopci zawzięli i nikogo już do wsi nie dopuścili.

— Możecie sobie—powiada ten sołtys,—obejść wieś naokoło po ścierniach, przez podorywki, a nie wadzi, choćbyście ta i zboża komu krzynę przydeptali, zawdy lepiej niż jakbyście jakiego licha nanieśli.

Tak dziad rozpytuje, prosi o radę, żeby mu miejscowi ludzie pokazali, gdzie tu wybrać miejsce dobre do noclegu, żeby i ogień można było rozłożyć.

Zaraz im pokazali ci chłopci las do połowy wy-  
cięty i poszła tam cała kompania.

Beldonek już teraz był wolniejszy od tego  
dziada, bo jako on stary miał dużo zajęcia, to ta  
nie baczył, że chłopak odchodzi na bok i wałęsa  
się między kompanią.

Ale Florek dał jeszcze dziecku do dźwigania  
drugą torbę, a na takiego małego to było za du-  
żo. Była tam zaś jedna dziewczucha z tym ludem,  
powiadała, że jej Zośka na imię, musi nie miała  
więcej nad szesnaście latek; widzi ona jako chło-  
paczyna dźwiga wielkie ciężary na sobie i ledwie  
co lézie, tak mówi:

— Jak tobie mały na imię?

On jej powiedział, że się zwał Beldonek. Nie  
chciała z początku wierzyć, bo się znała na książ-  
ce nabożnej i pamiętała sobie, co niema takiego  
świętego; ale zmiarkowała, że pewnikiem chłop-  
ca ludzie w jego wsi tak jeno przezwali nie od  
chrztu żadnego.

— Dawaj mi jedną torbę — mówi Zośka, — ja  
silniejsza, ulżę ci odrobinę..

Odrazu go to ujęło, kiedy mu mało kto dobre  
słowo dawał, a ów-ta dziewczyna miała chęć po-  
ratować. Ale cóż, bał się znowu Florka — mo-  
głoby się dziadowi nie podobać, że chłopak ko-  
mubądź oddaje torbę do pilnowania; tak już sam  
dźwigał dalej, o mało się z tego nie przerwał  
w sobie. I tak był rad, że z dziewczuchą może po-

gwarzyć, bo wyglądała jak co dobrego; od pierwszego spojrzenia mieli do siebie jakieś przywiązanie. Rozgadali się na dobre i jedno drugiemu opowiedziało o swojem siéroctwie, bo i ta Zośka nie miała równie tatusia ani matusi, jeno szła do Częstochowy z krewniaczką, Kundą, z tamtą starą babą, co się to Florek na drodze z nią naprzód zmówił o prowadzenie kompanii. Z czoła, z oczu, z zębów i ze śmiechu udała się okrutnie Beldonkowi ta dziewucha; czasem drugi człowiek ma w sobie jakąś taką cnotę, żeby się do niego przylgnąć chciało — odrazu wiadomo, że dobry.

Przychodzi cała kompania pod las, jedni siedli, a chłopaków się kilku zaraz rzuciło do zbiórki, żeby rozpalić ogień; naznosili dosyć suszu i buchnął płomień—każdemu było weselój. Pośpieliwali trochę nabożnie, niektórzy się posilał, a jaki taki głowę do ziemi przyłożył, bo go sen zdejmował. Ale ta nie wszyscy do spania się rwali, jacy siedzieli koło ognia i gwarzyli żwawo. Zaczęło się od tego opowiadania, skąd poszedł zwyczaj, że naród rok rocznie tak na Jasną Górę wali.

Pyta się Beldonek Zośki:

— Czy téż to we zwyczaju było u ludzi już tak od stworzenia świata?...

Ona mu zaś odpowiada:

— Musi w każdej wsi z innéj przyczyny wędruje naród do cudownego obrazu, bo skoro komu co dokucza, to się chce pomodlić — jeden za grzechy — mówi, — drugiemu chleba braknie, trzeci na chorobę szuka lekarstwa, a niektórymu trza jeno pociechy w strapieniu, jak go różni odumarli.

Mądrze mu tak odpowiadała dziewczucha.

Na to się odzywa Kunda, co była pono ciotka Zośki:

— Dzieckiem jeszcze byłam, jakem słyszała od starszych ludzi, co dawnemi czasy ludzie raz okrutnie grzészili na świecie — zabójstwa, złodziejstwa, pijaństwa i innych grzechów moc była ogromna. Tak Pan Jezus nie mógł już wytrzymać z takim narodem. Zaraz z tego wszystkiego było ukaranie, bo sobie Pan Bóg pomyślał: Lepiej żeby nie żyli, niż mają tak grzészyc. I opuścił Pan Jezus ludzi. Od tamtego czasu chodziła po świecie straszna czarownica, łąziła od wsi do wsi, kiej jój ta już imieniem boskiem nikt nie zawadzał, i naokoluteńko coś siała; nie siała nic dobrego, jeno morowe powietrze... Marło wszystko jedno po drugiem; w niektórej wsi, to pono człowieka na owinięcie palca nie stało. Juści ani w polu, ani koło gadziny nie miał kto zrobić. Żle tak było przez adwent, przez zapusty, a w poście téż nie lepiej. Wymarło będzie więcej niż połowa téj ludzkiej hołoty, a przy takich niesprawiedliwych, to się i niejednemu spr-

wiedliwemu dostało. Tak w jednej zagrodzie siedział chłop ze swoją babą na gospodarstwie, i mieli syna jedynaka. Zła była ta czarownica, że w onej chałupie szło wszystko jak się patrzy, bo chłop nic nie pytał, jeno regularnie swoje robił; idzie tam do nich i zasiała to morowe. Odrazu się chłop rozchorował i ten ich chłopak, a ona poszła dalej innym złe robić. Zrobiła tak w Wielki czwartek rychtyk na noc, na drugi dzień zaś był Wielki piątek, kiedy Pana Jezusa ukrzyżowali. Dopiero kobiéta widzi, jaka straszna biéda w chałupie, i zaraz sobie wspomniała nie na Pana Jezusa ukrzyżowanego i jego mękę, jeno na straszną boleść Matki Przenajświętszej... „O poratujże mię téż niebogę Matko Boska Częstochowska, któraś sama bolała przy Swojej dziecinie!...“ Jakoś szczęśliwie tak zpod serca zawołała, że zaraz potém do jéj chałupy przy-szedł chłopiec jeden ślicznój urody, a to był Stróż Anioł i powiada: „Nie desperujcie, kobiéto, bo wasz głos doleciał do samego nieba, usłyszała go Matka Jezusowa i spojrziała na ziemię, a jak zobaczyła, co się z ludźmi dzieje, tak się rozplakała i łzę jedną spuściła tam na rolę waszę... Wiédzcie, że ta łza odkupi grzechy całej ziemi!“ Tak się téż stało; zaraz wyzdrowiał ten ojciec ze synem, a na świecie wszystko się poprawiło, jak-by ręką odjął. Baba rozpowiedziała ludziom o tém zwiastowaniu, więc wszyscy teraz tak

przez wdzięczność, jak i kóli ratunku, precz chadzają na Jasną Górę...”

Beldonkowi się ogromnie podobała ta historia, zaraz sobie w głowie układał, że mocna musi być ona Pani z Jasnej Góry, kiej na takie rzeczy pomogła.

Inna znów baba opowiadała, że takie chodzenie do Częstochowy zaczęło się od głodu u nich we wsi gdzieś pod Kielcami; bo tam dawniej rok rocznie okrutnie ciężki bywał przednówek, ludzie aż marli z wiosny, nim się w polu pokazał jaki urodzaj; dopiero gromada wysłała od siebie kilku starszych aż pod Pińczów do jednego pustelnika, co był za życia jak święty jaki. Pytają go o radę, a on im zaraz wyłożył, że nie trzeba nic innego robić, jeno śpiewając: „Pod Twoją obronę,” oddać się Matce Boskiej Częstochowskiej, to zasłoni. „Idźcie—powiada,—a proście.” Tak się wnetki zebrała kompania z krzyżem i poszła na Jasną Górę. Jak wrócili, zaraz się zlepowało. A kiedy znowu jednego roku potem przyszła zaraza na bydło, to takóž ustała, skoro naród poszedł i prosił o to Najświętszej Panny.

Florek siedział též przy tym ogniu, nasłuchiwał jedném uchem, gdzie jaki rozum mają ludzie o Częstochowie. Aż go znowu jedna z bab zagadnie:

— Jakże wy myślicie o tym obyczaju?

— Ja słucham, co wy gadacie, ale ta i niucha prawdy niéma w takowych babskich opowieściach. Bo przecie nie z jednej chałupy ani téż z jakiej jedynéj wsi pochodzą ogromne cuda na świecie — większe są temu początki. Wam, kobietom, zwyczajnie przy kądzieli, troi się tak i owak; powié co jedna, druga powtórzy i już urosło gadanie bylejakie, a nie po prawdzie. Ale jak jest bywały człowiek, to taki rozumie, gdzie się każda rzecz zaczyna, jaki ma obrót i koniec... Każdy święty w niebie może się zlitować nad prostą babą, czy chłopem—mocen jest, wiadome rzeczy; jeno hałasu z tego nie może być żadnego... Ma się wiedziéć, że nie na jednéj parafii ani nie na dziesięciu bywa przypadek ważny, co dochodzi do słuchu równie króla i panów, jako téż prostego chłopca. Tak i z tą Częstochowską cudownością. Od wieku szła nad ziemią, niezapamiętanie ludzkie, kiej się zaczęła; tyła coby ludziom nie wyszło z pamięci, to Pan Bóg już tak zdarzył od czasu do czasu jakie cudowne zrządzenie. No i powtarza się totc, a co z nowsza, to ludzie wiedzą—syn od ojca, albo wnuk od dziada, jeśli dożyje taki stary do wnuków.

— A może i prawda, tać dycht są takie trafunkil...— powiadają baby.

— Niéma być prawda, kiej wszystko z wojny poszło. Wiadomo, jako dawnymi czasy Szwed, Tatar precz tu latały pod Częstochwę, a jakże,

kręciły się — lutry, wszystko kóli temu, żeby narobić psoty, krzywdy chrześcijańskiemu człeku. Były to podobno okrutne hamany, dzikusy jakieś, co im już żaden żołnierz nie mógł dać rady, bo wszyscy wojskowi od prostego żołnierza do jednorała zestrachali się przed tymi przybłędami. Ha no, zachciało się raz onym poganom skarbu, co jest w kościele na Jasnój Górze. Ale już Pan Bóg nie chciał na to pozwolić. Więc raz zza ołtarza Najświętszój Panny, z tego, co jest cudowny w kaplicy, przemówiło coś do jednego księdza, jak się tam modlił: „Idź—mówi głos taki,— i pobij toto, pobij je mocno, żeby tu nie wrócili więcój, jak sobie raz pójdą!... Cóż, ksiądz nie był żadna osobliwość, nieduży człowiek, więc się sprawiał tam w kościele, że nie podoła tyłośnemu nieprzyjacielowi. Wtenczas mu Pan Jezus dał siły takie okrutne, że w sobie ten ksiądz czuł, jako lepiej niż za tysiąc ludzi obstoi. Z tą śmiałością już się mógł bronić. „Niech przyjdą—powiada,—zobaczymy!“ Podchodzą te odmieńce pod Jasną Górę, a ksiądz krzyczy na swoich: „Zamykać wszystkie furty, nie puszczać mi tu nikogo! Wara im od kościoła!“ Zawarli ci klasztorni ludzie wszystko, pozapiérali na zasuwy, zamknęli na kłódki. Dopiero ten pogan, Szwed pono, każe tego strzelać, nie żałować ani kul, ani prochu; wałą z harmat takich, co do jednéj trzeba było cztery konie zaprzęgać, — aż się ziemia

trzęsie. Tak ludzie w oném zamknięciu na Jasnój Górze pędzą do księdza i mówią: „Dobrodzieju, rumot straszny, nie do wytrzymania; na sądzie ostatecznym gorzej nie będzie!... Możeby tym zbójom posłać co z klasztoru — niechby wzięli i poszli...“ Oj, trzęsła się téż trzęsła ta góra, wielka kopuła na kościele omal nie spadła, tak dygotała. Ale ksiądz nic, chwata okrutny przez moc bożą; jak był, tak wypadł przed kościół, stoi i patrzy, a tu gwar narodu, wrzask, łomot straszny, kule się sypią wedle niego, jeno żadna nie trafia—wielgaśne takie były, jak główki kapusty, z żelaza kute; skakały precz koło kościoła, wpadały na dach, jeno mało było z tego szkody. Kiedy się dobrze nastrzelał ten nieprzyjaciel, tak myślał, że już chyba wybił wszystkich co do nogi i tylko mu trza iść, żeby skarb zabrać. Posyła tam zaraz kupę żołnierzy, zapowiada im, jak co mają zrobić, a ci wracają po jakimś czasie, powiadają, że się nijak dobrać nie mogą, — że wszystko jakoś tak twardo pozamykane, — nie podoła ani ręką, ani żadnym obuchem: zamki i zawiasy trzymały okrutnie mocno. Wpadł w złość straszną, o mało w nagłości nie pozabijał tych, co mu tak powiedzieli; zaraz w te pędy posyła jeszcze trzy razy tyle narodu. „Jak mi wróćcie bez skarbu — mówi,—to lby wszystkim poucinam.“ Taki zawzięty był ladaco. Idą drudzy i już sił dokładają, głowy sobie łamią,

biorą się na sposoby, bo wiedzieli, co ich czeka, jak swego nie zrobią. Takż nie mogli nijak poradzić; wtenczas mówi jeden do drugiego: „Śmierć nas czeka, zabierzmy się lepiej i pójdźmy do domu, bo się tu chyba nie z ludzką siłą ma do czynienia.“ Porwał ich strach i uciekli; nie wrócili już do tego, co nad nimi dowodził. Szwed posyła nowych jeszcze, ci zrobili to samo. Zrzedniała mu mina, widzi, że źle, mógłby całe wojsko stracić, tak zaklął tyła od siarczystych i poszedł. „Czary—powiada,—ktoś uczynił...“ A umyślnie tak mówił, żeby nie uznać cudu Matki Boskiej.— Rozumieścież teraz, że bez to jacy ludzie do Częstochowy chodzą, bo Jasnogórska na cały kraj od wojny wszystkich sobą zasłoniła.

Każdyby takięj historyi chciał słuchać, więc ludzie z kompanii żalowali tylko, że Florek już mówić przestał. Cichutko pacierze poczęli szeptać i zabrali się do spania.

---

## XVII.

Wypali się dokumentnie; powstawali skoro świt, każdy się modli, jedno odmawia godzinki, niektóre znowu pośpiewuje nabożnie, a młodzi jeszcze dosypiają — inne ziéwa, że nie dospało. Słoneczko weszło ładnie, na pogodę, rosa duża—

jeno się mieni, jakby deszcze w nocy spadły. Florek był gotów, przegryzł ze snu trochę, bierze krzyż do ręki i mówi do chłopaków:

— Dość téj mitręgi, bijcie w bęben co żywol

Oni zaraz biją; tak się już wszystko do reszty pozrywało, zabiérają tobołki, kije do rąk i stanęli naokoło Florka, a on tylko popatrzył i zaczyna śpiewać: „Gwiazdo morza, któraś Pana...” potém z gołą głową ruszył naprzód. Żwawo biegli, bo po nocy, po wypoczynku, każdy był krzepki. Przeszli przez las—znowu piachy, droga niech Bóg broni, gorzej błota, ledwie iść można; musieli sobie pofolgować, do śpiewania takóž ustali. Florek się obrócił do ludzi w tym piasku i powiada:

— Widzicie ten las na górce, bór ta nieosobliwy?... Pamiętajcie, jak stamtąd wyjdzie, niech każdy dobrze baczy!...

Tak młodzi, co piérwszy raz szli tą drogą do Częstochowy, pytają:

— Co to takiego będzie?

Ale dziad nic, nie daje nijakiego tłumaczenia.

Dowlekli się do tego lasu, choć jeden drugi postawał. W lesie po cieniu znowu im było raźniéj; spoczęli tam, pośniadali, pogwarzyli jedno z drugim i daléj w drogę — marsz.

Mijają ów-ten las, patrzą z górki, a tu w dali przed nimi widać wieżycę, kopułę,— ciemna taka była, tyła na wierzchu stał krzyżyk i w słońcu

się mienił, odbijały promyki jakieś na wszystkie strony, nikiel cudowna gwiazda. Dopiero ta kompania cała w krzyk, w płacz; szlochanie wielkie aż się po lesie rozległo, biegło het, het po polu. Ludzie się na ziemię rzucają, jedni klękają, wyciągają do góry ręce, biją się w piersi, żegnają, a drudzy odrazu padają krzyżem. Od tego widoku i lamentu każdemu łzy stanęły w oczach. Zaraz było widać, że nie dla zabawy ten naród wędruje przez tyle drogi, jeno strapienie okrutne na niego padło; każdy miał widno swoje bóle, cierpotę jakową, każdy ogromnie musiał kochać Jasnogóorską Pannę.

No, nabeczeli się do syta, namówili pacierzy, znana rzecz, co im pomogło to wszystko, zelżyło wewnątrz.

Florkowi bo ta nie pierwsze było, już się dobrze musi otrzaskał z każdym nabożeństwem; ale udawacz był okrutny, tak bierze i rękawem od kitli oczy sobie ociéra, choć całkiem nie płakał ze wzruszenia. Jak to już zrobił, odzywa się do kompanii:

— Daléj, ludzie, sakum pakum, bo czasu szkoda!...

Znowu się zrychtował i napoczyna pieśń inną jeszcze o Matce Boskiej, pono najpiękniejszą:

„Witaj, królowo nieba i matko litości,  
Witaj, nadziejo nasza w smutku i żałości!...”

Dziad śpięwa, a tu nikt za nim nie powtarza, jeno łkanie jeszcze ogromne na wszystkie strony; bo ludzi za gardła żal taki ściszał, że słoweczka żadne przemówić nie mogło.

Zbeczał się i ten Beldonek, zbeczała się także Zośka, jeno się niedługo potem uspokoiłi, bo jak zeszli z górki w nizinę, to im zginęła z oczu ta jasnogórska wieża z kopułą.

Przychodzą do wsi jakiéjś, a tu inną drogą wchodzi znowu druga kompania; dużo było w niéj ludzi; szli skądéś zpod Proszowic. Ci mieli na sobie inne stroje, obleczenia precz powyszywane czerwono, a także inny obyczaj w śpiewaniu, jako i w mowie. Krew z wodą taki biały naród, choć się toto piekło na słońcu, a tamci zpod Kiele patrzyli przy nich na Cyganów. Dostatnio było koło onych Proszowiaków, u bab bogactwo w koralach, we wstążkach, a chłopci mieli pasy szerokie, coby drugiemu tyle skóry na buty starczyło. Prowadził ich chłop setny, wołu wzięłby taki, jakby poszło na rękę; już i tak był zmacha, a jeszcze miał do tego wysoki kapelusz ze świecącą klamrą i piór pawich kupką. Wszyscy ci z ksiązek czytali każde nabożeństwo—modlitwę, pieśń czy litanią. Nie łączyli się ta z oną Florkową kompanią, pewnikiem bez to, że chcieli, coby ich samych osobliwie ksiądz przyjął tam na Jasnej Górze. Jako się za takie rzeczy płaci, więc nic nie dbali o taniość; boby dwie kompa-

nie mogły były wejść razem jak jedna za tę samą zapłatę. Kto ma pieniądze, co mu ta po tém!

Tak jedni poszli swoim porządkiem, a drudzy swoim.

Znowu po raz wtóry zobaczyli te wierzchy kościoła, jeno teraz nie było już takiego lamentu, jak piérwój, bo się ludzie opatrzyli; przyglądali się tyła złocistym krzyżom i czerwonemu dachowi na kościele.

Nareszcie przed wieczorem dobili do Jasnej Góry. Huk ludu był tu ogromny. Jak już poszli pod górę, tak Florek prowadzi ich pod jedną figurę i powiada:

— Musicie ludzie zrobić składkę na księdza i muzykę, żeby nas uczciwie wprowadzili na Jasną Górę...

Odrazu się złożyli ludzie, co mogli, pooddawali dziadowi na rękę; on zrachował i jak widział, że kto mało daje, to nastawał na niego, żeby nie żałować dla Matki Przenajświętszój, kiedy się do niej przyszło w goście; znowu dodali. Dopiero Florek poszedł robić układy z księdzem i z muzykantami o wprowadzenie kompanii na Jasną Górę. Ale kiedy odszedł, to te baby, co już były w Częstochowie, narzekały, że tegoroczna wprowadzka kosztuje drożej niż dawniej.

Wyszedł ksiądz, przemówił do nich dobrze, potem już z ogromną kapelą wchodzili na górę;

niektórzy to nie szli zwyczajnie, jeno się posuwali na kolanach, a czołem bili i ziemię całowali.

Kościół stał otworem, tak wpadli tam okrutnie spragnieni nabożeństwa; jeden przez drugiego się cisnął, a każdy padał na ziemię i modlił się gorąco.

Poruszyło to wszystko Beldonka do głębi; kiedy wszedł do kościoła, nie miał śmiałości nawet spojrzeć na obrazy, tyła się chylił ku ziemi. Choć nie widział jeszcze Matki Boskiej Częstochowskiej, téj, co jest w kaplicy, a i tak mu się zdawało, że się do nieba dostał: jasno, złocisto, niebiesko było wszędy. Spojrzy w wielki ołtarz, a tam między gwiazdami pełniutko aniołów, pływają na skrzydełkach, wiją się, jeno łebki niektórym widać; między tymi anioły Pani taka prześliczna sunie, spokojniuteńko idzie przez powietrze w górę. Chłopak omal nie zemdlął, bo patrzeć na to długo nie mógł; przycisnął się do ziemi, myślał, że już na świecie niema nic piękniejszego. A tak się jakoś zczulił, że choć przecie umiał siła różnych modlitw i pieśni, to nawet paciérza należycie zmówić nie mógł, tylko sobie w cichości ciągle powtarzał: „Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami.“

Wtém czuje, że go ktoś trąca; spojrzy, a to Florek leży przy nim krzyżem i szepta:

— Wychodź za mną z kościoła, bo musimy swoje robić...

Mógł kto myśleć, że się dziad modli, a on tylko tak mówił.

Beldonek spojrział na dziada i jakby przejrzał, bo jak oczy oderwał od obrazu, tak ciągle miał te śliczności przed sobą; teraz mu się ten Florek okrutnie nie podobał, choć go przedtém bardzo uważał za mowność i za mądrość.

Ale wyszli oba z kościoła i dziad rzecze:

— Do zmierzchu jeszcze kawałek czasu, a tu ciągle przychodzą nowe kompanie; taki świeży naród, co dopiéro przyszedł, najprędzej opatrzy biédnego, nim się toto z grosza wyszepła... Słyszysz, ty takóž będziesz na tym odpuście rękę wyciągał! Co dwóch, to nie jeden, w parze zawdy więcéj się zbierze opatrności...

Wychodzą precz za bramy, a Florek sobie miejsca szuka, gdzie zasiąść. Dziadów tam była ćma ogromna, a wszyscy cudaczne pokraki. Mieli powykręcane ręce, połamane palce; innemu nóg brakowało, — miał tylko drewniane kulasy, a drugi sznurkami przywiązywał sobie do kolan sannice i dopiéro na nich suwał; niektóry był bez nosa, albo mu srogie rany na gębie i kole uszu nie pozarastały; byli tam niewidomi z otwartymi oczyma i bez oczu, byli niemowy i głusi — wszystko straszne łazarze. Każdy jęczy, prosi jałmużny, skamła. Strasznie patrzeć na takie kaléki. Obsiedli gęsto cudowną górę i dopiéro

w niebogłósy wrzeszczeli do miłosierdzia ludzkiego.

— Siadaj na osobności, tam naprzeciw mnie, i krzycz jako jesteś nieszczęśliwy sierota; jeno rękę ludziom dobrze podstawiaj!... — rzecze Florek do chłopaka, i każe mu się sadowić przy takim dziadu, co już na wieki oślepl. — Jak ta kto grosz jaki ciśnie temu ślepcowi, możesz żwawo podstawić rękę, to ci wpadnie, tyła się oglądaj i bacz z uwagą!...

Usiedli, żebrują, a ludzie przechodzą, rzucają dziadom groszaki.

Florek, choć sam wyciągał rękę, to i tak zdaleka dawał na Beldonka baczenie, jak mu kto co dawał. Kiedy się ściemniło, powiada do chłopaka:

— Oddajże coś wziął, dało ci będzie z dzieściu...

Chłopiec oddał dziadowi całą tę jałmużnę, i potem dopiero poszli szukać swojej kompanii, żeby się już z ludźmi kupy trzymać. Idą koło różnych dziadów, a Florek tego i owego napastuje, pyta, czy który nie chce od niego chleba kupić za tanie pieniądze. Znaleźli się niektórzy, co nie mieli z sobą zapasu i kupowali. Jak kromka była bardzo zeschła, to ją dziad tanio sprzedawał, bo chléb taki wtenczas tylko jeść można, kiej się go w ciepłej wodzie namoczy. A jakże, wysprzedał Florek na tym odpuszcie precz sucha-

ry. Kiedy znowu znaleźli swoją kompanią, to tam baby zaraz dziada na swój wikt wzięły, a Zośka przyobiegała Beldonkowi, że mu na drugi dzień kupi mentalik i da go do poświęcenia w kościele, do potarcia o ołtarz Matki Boskiej.

---

### XVIII.

Ciągle dopisywała ogromna pogoda na ten odpust; choć się ta i łyaskało wieczorkami, to nie kóli deszczu, jeno gwiazdy jasne błyszcząły bez żadnej chmurki, a potém nazajutrz jeszcze lepszy bywał dzionek.

W owój kompanii zpod Kielec gotowali się wszyscy na ranne nabożeństwo; choć to nie była jeszcze sama gala, tylko mieli mszę świętą pono zamówioną, co się cała gmina tam u nich złożyła na takie nabożeństwo i Kunda przyniosła w szmacie te pieniądze do Częstochowy. No, a zwyczajnie po to przyszli na Jasną Górę, żeby się raz po raz naświetować. Nie dziwota, że nazajutr kolejką szły rozmaite nabożeństwa.

Ale Florek nie puścił Beldonka do kościoła.

— Pójdiesz potém—mówi mu,—jak się tu już ludzie nabożni przerzedzą, terazbyś jeno drugim zawadzał; lepiej siedź na swoim miejscu i pilnuj tego, z czego chleb oba mamy.

Chłopak już nic nie odrzekł, ale mu było mar-  
kotno; zaraz raniutko poszedł z dziadem, usiadł  
przy ścieżce w cichości i rękę wyciąga. Nie osob-  
liwie on ta udawał proszalnego dziada, jeno  
miał szczęście, że niby takie małe dziecko pod  
kościółem jeszcze prędzej drugiego wzruszy, niż  
kaléka. Więc mu niejeden wraził co w rękę.  
Złaziły się tam dziady jeden za drugim, a źli byli,  
widzący, że co najlepsze miejsca pozajmowane  
i nie jeden taki brzydko na chłopaka spojrział.

Siedzi sobie tak Beldonek opodal a naprzeciwi-  
ko Florka, niby po drugiej stronie ścieżki; ale  
mu najbardziej chodziło, żeby upatrzył, jak bę-  
dzie tamtędy przechodziła Zośka, bo miała mu  
dać święty mentalik. Zośki nie było widać, jacy  
waliło państwo jakieś duże — kilkoro tego było;  
tak zaraz wszystkie dziady naokoło żwawiej się  
drzeć zaczynają na przeróżne głosy. Każdy roz-  
powiadał swoje kalectwo i wrzeszczał, jak nie-  
zdrów jaki, a inny trząsał się, ruchał, jakby go  
zimno tłukło. Patrzyło toto z ogromną pilno-  
ścią na ręce ów-temu państwu. Jeden był pan,  
szedł na samym końcu, cały bieluško ubrany jak  
gęś jaka, tyła mu z boku wyglądał świecący łań-  
cuch — musi bogacz jakiś. Chłopak się przygła-  
da, bo jako żyw nie oglądał jeszcze takiego cu-  
daka, a tu widzi, jak onemu panu coś upadło;  
Florek czémprędzej tę rzecz uronioną chwycił,  
bo leżała blisko niego, i do zanadru ją schował.

Tylko jeden Beldonek spostrzegł, co się stało; co prawda, chłopak sobie myślał, że dziad nie dobrze robi, skoro na takiem świętém miejscu cudzą rzecz kryje. Ale skoro się nikt nie upomniał, co mu ta było do tego, wyciągał dalej rękę i brał jałmużnę.

Niedługuteńko potém przychodzi znowu jakiś miastowy w surducie, spojrzął na dziecko, maca się zaraz po kieszeni, wy dobył pieniądz i cisnął go Beldonkowi umyślnie, żeby się nie miał potrzeby schylać, dając jałmużnę. A tu któryś dziad z boku skoczył do tego pieniądza, jak kot do myszy, i łap za niego; chłopak równie poskoczył i z tym łapczywym dziadem się zderzył, Beldonek trzasnął tamtego swoją głową w nos; z tego poszło pomstowanie, bo chociaż dziad pieniądz pochwycił, ale go bolało. Trzyma się za nos bolący ten dziad jedną ręką, w drugiej garści pieniądz ściska, a na chłopaka sztunderuje:

— Zatracony bąku—powiada, — psie nasienie, będziesz mi zprzed nosa jałmużnę porywał!...

I potém zdzielił chłopca przez rękę, jeno niebardzo, bo się dziecko umknęło, tak dostało tylko obciérkę. Stropił się Beldonek z tego wszystkiego, tylko się boczy zdaleka, a ten dziad odrazu na jego miejscu zasiada i klnie ciągiem od siarczystych—wyparł chłopaka z siedzenia.

— Poszedł precz, smarkaty, ja tu zawsze od pięciu lat siadałem — mówi,— jakie prawo twoje do tego miejsca!...

Zasiadł tam, gdzie Beldonek siedział, a inne dziady całym sznurkiem się zeszlusowały, tak że chłopak został na ścieżce, nie miał gdzie usiąść.

Zobaczył Florek, co się dzieje, tak się porywa znowu ze swego miejsca w okrutnej złości, podniósł do góry kostur, zamierzył się strasznie i chyłkiem prawie leciał do tego Beldonkowego nieprzyjaciela.

— Skurczypało jeden, obiboku!... — wrzeszczy, omal się nie pieni. -- Nie ruszaj mi mojego dziecka!... Zasię ci od niego, kondlu jakiś!...

Aż się trząsał Florek, aż zzieleniał na gębie, wybałuszył oczy i trącił tamtego dziada przez łeb kijem.

Ale cóż, jak tylko dziad Beldonków wstał ze swego miejsca, tak dziady po drugiej stronie drogi znowu się zeszlusowały i zrobiło się z Florkiem rychtyk to samo, co z Beldonkiem. Dopiero gwałt z tego, rwetes, bo Florek zadarł ze wszystkimi dziadami; ale że z niego był stary wyga, cięty, tak się nie dawał, tylko szedł w piekło o swoje. Zobaczył tu i owdzie dawnych znajomych dziadów, zaraz ich bierze za świadków i przyjaciół sobie robi naprzeciwno tamtym; jeno nie każdy go ta należycie wysłuchał, bo ludzie przechodzili i trzeba było na wyścigi o jałmużnę molestować. Tak Florek tyła zbarłoczył krzyne czasu a nic nie wskórał.

Akuratnie nadchodzi z nabożeństwa Zośka, widzi Beldonka i wsunęła mu w rękę mentalik,

co mu go była przyobiecała. Teraz dziady myślały, że chłopak stojący pobięra jałmużnę, tak zaczęli jeszcze gorzej bij zabij na dziecko. Jedni się modlą, a drudzy klną pod nosem, — nie każdy ta słyszał, jeno chłopiec wiedział, że na niego.

Kiedy tak było urwanie głowy, a tu od kościoła idzie ten sam pan biało ubrany, co to przed chwilką rzecz jakąś upuścił, i Florek ją podniósł. Podchodził do dziadów i rozpytywał, czy który nie znalazł pularesu, a obiecywał im znaleźne. Tak on dziad, który po Beldonku zagarnął miejsce, mówi pocichutku do ów-tego pana:

— Niech-no pan dobrodziej każe tego małego przetrząsnąć, bo nikt jeno on musiał sprzątnąć; każdemu na odpuszcie znany to ptaszek, okrutnie chytry bachur, choć na to nie patrzy... Stoi tam oto policyant, pomoże panu...

Tu się więc Florek targuje z dziadami, miejsca sobie szuka, bo nabożeństwo najgorętsze, czas leci, a tu ani widzi jak Beldonka policyant przycapił i na dół prowadzi.

Idzie ten pan, a policyant Beldonka za kark trzyma, przed sobą na oddalenie ręki pędzi. Tak ów biały pan podchodzi do chłopaka i zaraz go grzecznie namawia:

— Słuchaj mały—powiada mu,— jeżeliś wziął, przyznaj się, nic ci nie będzie za to, jeszcze cię dobrze obdarzę; a nie, to może być z tobą wielka bieda... Szkodaby cię było, boś młody.

Beldonek był w ogromnym strachu, myślał, że oni go pewnie zbić chcą, tak w bek, płacze a wymawia się, że nic nie winien — świętą prawdę mówił.

Ten pan zaraz powiada:

— Ludzie mówią, że cię widzieli, jak podnosiłeś, powiedzże — prawda to?... Możesz ty widział, kto podniósł?...

— Juści widziałem... — wyrwało się Beldonkowi w tym beku.

Dopiero się zatrzymali, i pan głaszcze chłopca pod brodę, dodaje mu chęci, żeby pokazał takiego, co podniósł on pulares.

Nijako było chłopaczynie powiedzieć, że to Florek, tyła się trochę uspokoił bez owo głaskanie. A tu policyant, jak krzyknie na niego z góry:

— Gadaj mi zaraz, ty oberwusie, szelmowski duchu! A pasport gdzie u ciebie?...

Chłopak o mało ze skóry nie wyskoczył, jak go tak zagadnęli, i powiada cicho:

— Florek podniósł..

Każą mu pokazać, który to taki, i prowadzą go między dziadów. Zaszli Florcowi od tyłu i chłopiec go pokazał; ale sobie aż oczy ręką zasłonił, bo nie śmiał spojrzeć na swego dziada — bał się, że go wydał.

Ha! no, uciecha osobliwa pomiędzy dziadami, kiedy zobaczyli, że Florca policyant wie. Zrazu się dziad stawiał ostro, gadał jako jest

prowadzący jedną kompanią; — na nic się zdało, nie było żartów z tym policyntem, bo choć nie on zgubił pulares, zawzjął się jeszcze gorzej od tamtego białego pana i strasznie był pewien swego, ile że pałasz miał przy boku. Beldonek nie myślał zostać między dziadami — toć bez Florkowej opieki Bóg wie coby z nim zrobić mogli teraz; zabrał się i szedł zdaleka zobaczyć, gdzie oni Florka prowadzą, żał mu było dziada trochę.

Już na dole pod Jasną Górą Florek zmiękł, wyznaje brewider, że pulares znalazł, jeno nie wiedział czyj; ale teraz gotów oddać, tyła niech go na stare lata nie tarמושą, kiedy on do Częstochowy przyszedł na nabożeństwo. Wyjął z zanadrza ten pulares i oddał panu. Pan zaraz się zcieszył, wziął swoje i prosi policynta o sfolgowanie dziadowi.

— Bierz go kaci — powiada, — nie dbam o więcej, skorom zgubę odnalazł!

Cóż kiedy policynt w żaden sposób nie chce Florka popuścić.

— I tak — mówi, — na tym odpuście pełno złodziei, niechże choć on jeden przesiedzi w ciupie, póki się wszystko nie skończy...

Nic nie pomogło, zabrali gdzieś Florka, schowali.

Idzie ten biały pan napowrót i napotyka Beldonka, przyjrzał się dobrze chłopcu i odrazu rzeknie:

— A prawda, toś ty chłopysiu był niewinnie posądzony, i z twojego wskazania odnalazłem zgubę!... Niechże cię nagrodzę tak za jedno, jak za drugie...

Dobyl jakieś papierki, daje to chłopakowi, a napomina:

— Schowaj to sobie, żeby ci kto nie zabrał, i spytaj kogo starszego, co masz zrobić, bo ci daję dobre pieniądze...

Tyle jeno powiedział, potem poszedł ku kościolowi, a Beldonek został pod Jasną Górą i myśli, co tu dalej począć?

---

## XIX.

Przez czas jakiś wałęsał się Beldonek tu i owdzie pod Jasną Górą, aż nareszcie natknął się na baby z onęj kompanii, co to zpod Kielc przyszła. Ale im ta nic nie mówił zrazu, że takie przypadki zaszły; dopiero się później jakoś dowiedziały o wszystkiem. Nie było im markotno o Florka, powiadały:

— Dobrze mu tak, kiedy oszukaniec... Musi na naszój kompanii takoz dobrze zarobił bez ten honor, że nas tu prowadził.

Jeno chłopak Zośce wszystko akuratnie rozpowiedział i pokazał jēj równie te pieniądze

w papierach, co je od pana dostał. Ona mu zaraz na osobności przerachowała i powiada, że jest moc tego, że nikt w całej ich kompanii nie mógł mieć tyle; ale dziewczucha téż nie wiedziała, siła było, bo nie mogła zgadnąć, ile który papieżek mógł znaczyć.

Tak już teraz mały bab się pilnował, łąził z niemi na nabożeństwo, obejrzał wszystko doskonale, przebył cały odpust, jak należy. O Florku nie było mowy, zapomnieli o nim ludzie, bo każdy miał swoje rzeczy do myślenia.

Poczyna się zabiierać ta kompania do odejścia, tak Beldonek w prośby do Zośki, żeby mu kupiła u obrazników różnych świętych i mentalików za jego pieniądze. Ślicznych rzeczy sobie nasprawił, takóž piękny kozik i piszczałkę, a Zośkę obdarzył tak, że była rada.

Powróciła potém ta kompania pod Kielce, i dziwowali się tam u nich we wsi, że kobiety takiego zmyślnego chłopacynę przyprowadziły. Beldonek się doprasza, żeby go kto koniecznie do stryka Matusa odstawił; ale cóż? ludzie się dopytują, a on nie wie ani krzty, jak się jego wieś nazywa, bo sobie tyła spamiętał Pińczów i Częstochowę.

Dopiero starzy gospodarze nastają na Kundę, bo ona najwięcej miała z tym dziadem Florkiem do czynienia. Jak sobie baba poczęła wszystko do pamięci przywozić po kolei, tak wspomniała, że jój dziad raz mówił, jako ten się-

rotka zpod Buska z Balic pochodził. Rychtyk się ktoś ze wsi wybiórał na furmankę w tamte strony, tak mu dali chłopaka na furę, żeby do tych Balic dojechał i oddał cudze dziecko komu przynależy.

Ledwie się Beldonek u swoich pokazał, zaraz go wszyscy z ogromną szczérością witali; porozdawał ludziom trochę tych obrazów i mentalików z Jasnej Góry, a stryjnie oddał jeszcze pieniądze do schowania, co mu zostały. Powiadał Matus, żeby za ten grosz trzy spore wieprzki mógł kupić.

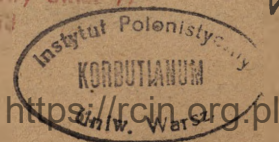
No, podziw we wsi był ogromny, że takie małe dziecko a już kupę świata widziało. Chłopak ześmiał, precz opowiadał różne historye między swoimi, miał teraz uważanie większe niż dawniej.

— Będą z niego ludzie! — powiadali we wsi.— Świat zobaczył i z pożytkiem w kieszeni do domu wrócił.

---

Nie na tém koniec historyi o Beldonku, jeno się resztę kiedyś jeszcze opowie.

Instytut  
BADAŃ LITERACKICH PAŃ.  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63









K  
1250